Nr. 20. Warszawa, dnia 17 (5) Maja 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„DAWNY KURS.“

Jeżeli człowiek mierny zrobi, bodaj przypadkiem, coś wielkiego przy rozpoczęciu swej karyery, stanie na długo przed światem jako nierozwiązana zagadka. Jedni, zblizka go oglądający, będą twierdzić, że jest malcem, który wlazł na wysoką wieżę; inni nie przestaną dowodzić, że jest olbrzymem, który wtedy, gdy na nic doniosłego zdobyć się nie może, siły zbiera i do znakomitych dzieł się przygotowywa. Tak było z Napoleonem III. Śmiałe posunięcia na szachownicy politycznej, kilka wygranych partyj — otoczyło go sławą, której już późniejsze błędy i partactwa rozproszyć nie mogły. Nawet wówczas, kiedy fakty rażąco przeczyły powszechnym oczekiwaniom, Europa wierzyła, że nad nią pracuje Sfinks, nieodgadniony w swych drogach i celach, że pozorne jego omyłki są tylko objawami jego geniuszu. Sedan przekonał, ile w tej wierze było złudzenia i naiwności; olbrzym spadł nagle do miary karła. Widział tego karła dawno Bismark i znakomicie wyzyskał zarówno jego małość, jak powszechne zaślepienie; ale gdyby był podzielił się ze światem swojemi spostrzeżeniami, niezawodnie wyśmianoby zuchwalstwo junkra pruskiego.

Nie sądzimy, ażeby Wilhelm II był Napoleonem III: nie rozsiewa on około siebie blagi, jest naturą prostszą i szczerszą; jednakże i on również stał się zagadką, ukrywającą prawdopodobnie sens całkiem inny, niż go odgaduje powszechne mniemanie. Bismark był potęgą, tę potęgę ktoś złamał, a więc ten ktoś musi być także potężnym— oto wnioskowania opinii, która już tylko czeka na wyraźniejsze objawienie się tej nowej mocy. Czytelnik łatwo dostrzegł, gdzie tkwi błąd tego rozumowania: w przeoczeniu stosunku monarchy do jego urzędnika. Chociażby pierwszy z nich był najniedołężniejszym, może usunąć drugiego, choćby ten był największym, bo mu do tego daje siłę samo prawo. Wiadomo, że dzieci są czasem odważniejsze od ludzi starszych — odważniejsze samem niepojmowaniem niebezpieczeństwa. Toż samo zdarza się w działaniu charakterów i umysłów dojrzałych: nieraz te właśnie okazują największą śmiałość, które najbliżej sięgają przewidywaniem. Gdyby Wezuwiusz rozdarł się do ziemi i zalał swą lawą całe Włochy, niewątpliwie byłby to wypadek wielki, ale bynajmniej nie świadczyłby o świadomej swych celów potędze wulkanu. Podobnie dymisya Bismarka jest faktem doniosłym, ale bynajmniej nie dowodzi ona, że Wilhelm II, który ją podpisał, jest genialnym politykiem i epokowym reformatorem.

Widzimy to już z dalszego ciągu działań monarchy niemieckiego. Na miejscu odpowiedniego Herkulesa postawił człowieka zwyczajnego, który przedewszystkiem zapewnił, że nawę państwa poprowadzi w dotychczasowym kierunku, że „kurs pozostanie dawnym.“ I rzeczywiście takim pozostał. Oczekiwano przy otwarciu sejmu pruskiego, a gdy nadzieja zawiodła — oczekiwano przy otwarciu niemieckiego jakichś nowych haseł, rozwinięcia jakiejś nowej chorągwi. Daremnie. Mowa tronowa nie miała Bismarkowskich kantów, utoczono ją gładko, ale z tego samego materyału, a nawet z tym samym ostrym końcem — żądaniem pieniędzy na pomnożenie wojska. Państwo zaopiekuje się robotnikami—więc znowu socyalizm państwowy; rząd granice tej opieki otoczy bagnetami—tak robił Bismark; pompa militaryzmu zapuści swój tłok głębiej — tak było dawniej, słowem, „der alte Curs.“

Prawda, mają być zniesione prawa wyjątkowe, ostatecznie zakończoną walka z kościołem katolickim, będzie mniej tyranii, prześladowania, gwałtów, ciemięztwa i okrucieństw, ale jest to raczej różnica w środkach, niż zasadach, które przechowają się niezmienione. Rzecby można, że w rządzie niemieckim zapanował inny temperament — łagodniejszy, który z pletni usunie drut, w maszynie karczunkowej zmniejszy ilość obrotów koła, w kagańcach żelaznych porobi dziurki dla swobodniejszego oddechu, do więzień wpuści nieco światła i powietrza, lecz ani o włos nie zrobi cieńszym pancerza militaryzmu. To jest punkt, na którym zatrzymają się wszelkie reformy i do którego nie sięgnie temperament.

Zdaje się, że gdy konferencya robotnicza przeszła bez poważnych skutków, gdy po usunięciu Bismarka ogłoszono dla dalszego biegu nawy państwowej „kurs dawny,“ gdy występy nowego kanclerza i cesarza przed sejmem Rzeszy nie zapowiedziały żadnych zmian doniosłych — wyczekująca ich nadzieja nieco ochłodła. Dotąd wszakże na osobie Wilhelma II, w przekonaniu ogółu, spoczywa zagadkowość, która wygląda a nieraz wymaga niespodzianek. Co on myśli — do czego dąży — czem Europę zaskoczy? — oto są pytania, które nie schodzą z ust opinii. A tymczasem on może myśli, jak dziad, na którego ustawicznie się powołuje, może dąży do tego, co dziad, bo nie zaskoczy Europy tem, co dziad, bo mu zbraknie tego przysłowiowego funta szczęścia przy łucie rozumu, który Wilhelm I posiadał i z którem wielkich czynów dokonał.

Z FRANCYI.

Paryż, 10 maja.

Dzień 1-y maja i ustawodawstwo fabryczne we Francyi. — Sprawa nocnej pracy kobiet. — Otwarcie Izby i skandaliczna sprawa „Crédit foncier.“ — Zgon bulanżyzmu.

Dzień 1-y maja minął we Francyi, jak i w pozostałej Europie, bez wielkich zaburzeń, w wielu jednak miejscowościach na prowincyi były mniejsze starcia, wzędzie zaś prawie ludność robotnicza była poruszo-

ną. W Paryżu manifestacya odbyła się najmniej poważnie i licznie, mimo że p. Constans rozwinął, jak zapowiedział, wielką energię, postawiwszy na stopie wojennej cały zwiększony garnizon paryski i armię policyantów. Delegacya, która zaniosła do Izby żądanie świętujących, składała się z kilkunastu osób, między któremi dwóch posłów do Izby i jeden radca municypalny. Delegaci, zmierzając do przybytku prawodawczego, szli parami należycie rozdzielonemi, tak, że publiczność nie mogła ich nawet zauważyć. Po przybyciu tego ostrożnego korowodu na plac Zgody, policya wzięła go w sw.ą opiekę i bezpiecznie doprowadziła do bramy pałacu Burbonów, gdzie delegatów przyjęli kwestorzy, następnie zaś prezes Izby Floquet. Po zatem wojsko i policya uganiały się za ciekawą publicznością, która wyległa na miasto, dzięki pięknej pogodzie i zapowiedzianej manifestacyi. W paru miejscach przyszło do starcia; około 200 osób aresztowano. Bójki te ze znaną ze swej brutalności policyą paryską trwały blisko do północy. Robotników w Paryżu świętowało niewielu. W stolicy przeważają organizacye robotnicze, należące do stronnictwa possybilistów, ci zaś żyją w dobrych stosunkach z oportunistami i oświadczyli się stanowczo przeciw manifestacyi.

Na prowincyi w kilku miastach i miasteczkach, jak Marsylia, Vienne, Liers, Roubaix, nie uniknięto nieporządków. Robotnicy domagali się zmniejszenia dnia pracy do 8 lub 10 godzin, oraz zwiększenia zarobku. Narady między delegatami a przedsiębiorcami nie doprowadziły do żadnego skutku— ci ostatni jednak zgodzili się przystać na 10-godzinny dzień pracy, jeżeli stanie się on normą, przyjętą przez ustawodawstwo międzynarodowe. W tym duchu postanowiono wysłać delegacyę do rządu. Idea owego prawodawstwa toruje sobie, jak widzimy, drogę nawet we Francyi, która była mu i jest najbardziej przeciwną, gardłując po faryzeuszowsku za zupełną wolnością stosunków ekonomiczno-społecznych.

Sprawa jednak prawodawstwa fabrycznego w samej Francyi idzie nader opornie, jak cała reforma stosunków społecznych. Prób nie brakło. Już w r. 1848 konstytuanta wydała dekret, oznaczający dzień pracy, obowiązującej dla wszystkich fabryk i zakładów na 12 godzin. Prawo to pozostało... na papierze. Według obowiązującego dziś (z r. 1874) dzieci dopiero od dwunastego roku życia mogą być przyjmowane do pracy. Są jednak wyjątki, pozwalające dzieciom poniżej tego wieku pracować 6 godzin dziennie. Dla młodzieży od 12—16 lat maximum oznaczono na 12 godzin. Dziewczętom do lat 21 wzbronioną jest praca w dni świąteczne oraz nocna. Są oczywiście także wyjątki. Przepisy te przestarzały się i nie są zbyt skrupulatnie przestrzegane. W roku też ubiegłym wniesiono do Izby nowy projekt w tym kierunku, ulepszony. Praca dzieci poniżej lat 12 zakazaną jest bezwzględnie i bezwyjątkowo. Od lat 12—18 może ona najwyżej trwać 10 godzin; dla kobiet wogóle — 11. Nocna przytem praca kobiet i dzieci wzbronioną została stanowczo. Zapewniono jeden dzień świąteczny na tydzień...

W tej formie projekt został uchwalony w Izbie, skoro jednak przeszedł do senatu, uznano go zbyt surowym i krępującym swobodę—kobiet przedewszystkiem. W dość długich i ożywionych rozprawach krewcy staruszkowie wylali całe potoki krasomówstwa w obronie wolności kobiet i stawiania ich na równi z mężczyznami. Fałszywe te głosy zjednały sobie nawet wielkie uznanie wśród niektórych emancypantek. Ostatecznie projekt odesłano napowrót do Izby, która znów wyznaczyła komisyę dla bliższego zbadania, czy nocna praca kobiet ma być całkiem wzbronioną, czy też pozostawioną i nadal. Członkowie tej komisyi wypytywali naprzód robotnice w Paryżu i znaleźli je nader wrogo usposobionemi dla pracy nocnej, będącej narzędziem wyzyskiwania. Udali się następnie na prowincyę do okręgów fabrycznych i tam przekonali się, że w wielu zakładach, szczególniej przędzalnianych, nocną pracę kobiet wprowadzono jako stały system. Oczywiście przedsiębiorcy, trzymając się tego regulaminu, oświadczyli, że cały przemysł runie, gdyby kobietom zabroniono w nocy pracować. W Roubaix zaprowadzono nawet w niektórych fabrykach taki płodozmian, że część robotników lub robotnic pracowała w dzień, druga w nocy. Rodziny urządzały się w ten sposób, że skoro żona pracowała w dzień, to mąż w nocy — i odwrotnie. Gdy jednak zaczęto rozpytywać innych fabrykantów w tejże gałęzi, okazało się, że ci obchodzą się najzupełniej bez pracy nocnej i byliby radzi, gdyby ją zakazano w drodze prawodawczej, jako rujnującą zdrowie robotnic i nastręczającą powód do wyzysku i gorączkowego pobudzania konkurencyi. Jest nadzieja, że pierwotne brzmienie projektu uchwalonego w Izbie utrzyma się, pomimo protestu wielbiących swobodę senatorów.

Izba, po krótkiej przerwie, rozpoczęła na nowo swe jałowe narady, a rozpoczęła je dość skandaliczną interpelacyą, dotykającą nieporządków finansowych w kierownictwie olbrzymiej instytucyi, założonej ongi przez Ludwika Wołowskiego pod nazwą Kredytu rolniczego (Crédit foncier). Dyrektorem tego banku jest niejaki p. Christophe, poseł do Izby, wicedyrektorem zaś do czasów ostatnich był niejaki p. Levêque, poseł z Dijonu. Wicedyrektor przez lat dwanaście przypatrywał się samowolnemu i nielegalnemu postępowaniu dyrektora, w końcu jednak zniecierpliwił się i przedstawił swą dymisyę ministrowi finansów Rouvierowi, usprawiedliwiając ją w obszernym memoryale, w którym wykazywał różne nadużycia. Minister dymisyę przyjął, memoryał zaś przesłał dyrektorowi dla wygotowania odpowiedzi. Christophe zwołał bezzwłocznie uległą radę administracyjną i ta wystawiła mu patent uczciwości i legalności, który Rouvier, sam ex-kantorowicz i spekulant, przyjął za dobrą monetę. Izba jednak spojrzała na tę sprawę inaczej, skoro znalazł się niezależny poseł, tym razem Laur, bulanżysta, który ministra zainterpelował. Okazało się, że w memoryale b. wicedyrektora są takie szczegóły, jak np. zapisywanie do rubryki „kosztów emisyi“ nowych obligacyj 116 milionów, jak nieprawne wrzucenie w mizerną spekulacyę 180 milionów, które w drobnej może tylko części zostaną wycofane, agent bowiem, który niemi obracał, palnął sobie w łeb, likwidacya zaś jego interesów niewiele przyniesie. Potentaci finansowi powiedzą, że rozrzucanie lub utopienie milionów w zakładzie, który obraca czterema miliardami, jest drobnostką, o którą spierać się nie warto — Izba jednak była zdania, że rząd bezzwłocznie, z własnego ramienia wytoczyć winien śledztwo, co też prezes gabinetu solennie przyobiecał. Z trybuny w Izbie przemawiali zarówno poseł Levêque, jak i poseł Christophe. Wykrętne wyjaśnienia tego ostatniego przyjmowano z szemraniem i nie pozwolono mu nawet skończyć powikłanych wyjaśnień. Oskarżyciela jego natomiast, cieszącego się opinią uczciwego człowieka, słuchano uważnie.

Wielki czas rzeczywiście, żeby władze kontrolujące miały czujniejsze oko na samowolne postępowanie takich królików finansowych, jak Christophe. Rządzą oni milionami, poświęconymi ich pieczy, zupełnie samowolnie. Rozrzucają pieniądze garściami, budują sobie pałace i wille, ciskają mi-

---

2)

Miłość i chleb

przez

A. Strindberga.

Trwało tak miesiąc cały. Bale, wizyty, obiady, kolacye, teatry. W przerwach byli w domu. Tu jednak było najlepiej! Jak to cudnie po kolacyi zabierać żonę od rodziców, z przed nosa ich do zamkniętej sadzać karety, pokłonić się im i rzec:

— Teraz jedziemy do domu, do siebie! I tam robić będziemy, co nam się spodoba.

Po powrocie do domu następuje jeszcze mała przekąska, potem siedzą i gawędzą do rana.

W domu Gustaw zawsze był rozsądnym. To znaczy — w zasadzie! Raz młoda żona dała na obiad łososia, kartofle duszone i zupę owsianą. Jakie to doskonałe! Ale Gustaw trochę spochmurniał z powodu tego obiadu. Następnego piątku, kiedy znów miał być łosoś solony, przyniósł do domu dwie kuropatwy. Stanął we drzwiach i zawołał:

— Wyobraź sobie, Luciu, coś niesłychanego!

— No, cóż takiego?

— Pewnie nie uwierzysz, co ci powiem. Obie te kuropatwy kupiłem na targu; zgadnij za wiele!

Młoda kobieta była zagniewaną i nie miała ochoty zgadywać.

— Wystaw sobie, korona za parę!

Ludwika kupowała kiedyś kuropatwy po ośmdziesiąt fenigów za parę, ale, dodała, nie chcąc męża obrażać — wtedy dużo było ptaków przez całą zimę.

— W każdym razie, przyznajesz, że tanie!

Nie przeczyła, aby go nie martwić. Wieczorem miała być kasza, jedynie sposobem próby. Zjadłszy jednak kuropatwę, Gustaw żałował, że nie może tyle jeść kaszy, ileby chciał. Chętnieby dowiódł, że lubi kaszę; nie znosił jej tylko, gdy była z mlekiem.

Zresztą, on wieczór będzie ją jadał, byleby tylko nie gniewała się na niego kochana żonusia.

Odtąd naturalnie nie było już kaszy, nie dostawał jej nigdy.

Upłynęło sześć tygodni. Nagle młoda kobieta zasłabła. Dostała bólu głowy i mdłości, może w skutek przeziębienia. Mdłości przecież nie ustawały. Może zjadła coś trującego? Czy to nie od naczyń miedzianych? Zawołano doktora. Roześmiał się i powiedział, że wszystko jest, jak być powinno. Co było, jak być powinno? Czy co złego? Jakże by to być mogło? Nie, to od obicia w sypialnym pokoju, pewnie w niem jest arszenik! Trzeba posłać do apteki, ale zaraz, żeby je zbadano! Bez arszeniku— brzmiała odpowiedź aptekarza. Aloż to dziwne! Niema arszeniku w obiciu! Choroba żony przeciągała się. Gustaw wziął się do studyowania jakiejś książki lekarskiej i szepnął jej coś do ucha. Patrz — oto jest! Ha, ha! Należy wymoczyć nogi!

W cztery tygodnie potem oświadczyła akuszerka, że wszystko jest, jak być powinno!

Jak być powinno! Tak, rozumie się, ale przyszło tak strasznie prędko!

Skoro wszakże już raz było — jakże to będzie ładnie!

— Wystaw sobie, małżeństwo! Hurrał Będziemy tatą i mamą! Jakże mu będzie na imię? Chłopiec, naturalnie.

Ale teraz Ludwika z całą powagą przemówiła do męża. Od ślubu nie zajmował się ani tłomaczeniem, ani korektami. Sama pensya zaś nie wystarczała.

Tak, tak! Żyło się szumno i gwarno. Boże kochany, toć raz tylko się jest młodym! Ale będzie inaczej!

Nazajutrz sekretarz udał się do swego dawnego przyjaciela z prośbą o poręczenie.

— Kto ma zostać ojcem, mój kochany, musi myśleć o powiększonych wydatkach!

liony w szalone lub nieuczciwe spekulacye—następnie zaś często strzelają sobie w łeb, jak to uczynił niedawno dyrektor zbankrutowanego dziś „Comptoir d'escompte,“ którego zarządzający stają obecnie przed sądem w znanej sprawie spekulacyjnej skupu miedzi. Dodać należy, że samobójstwo nie ratuje bynajmniej kieszeni ludzi często biednych, którzy złożyli do owych instytucyj krwawo zaoszczędzony grosz. Przy niedawnem bankructwie Panamy, w której utonęły miliony takich drobnych oszczędności, pomawiano również półgłosem o samowolę Ferdynanda Lessepsa, któremu udało się przekopać Suez, nie udało się jednak wybrnąć z Panamy. Istotnie, nałożone być winno jakieś skuteczne wędzidło na wielkie spekulacye finansowe i wielkich spekulantów.

W formie *post-scriptum* pozostaje mi zanotować nowinę o „przejściu w stan spoczynku“ — jak powiadają w Galicyi—francuskiego bulanżyzmu. Po ostatniej porażce przy wyborach do paryskiej Rady miejskiej przestał on istnieć. Generał z Jersey nie jest już głową partyi. Nie posiada ona obecnie głowy, członkowie zaś jej łamią sobie własne, dręcząc się pytaniem, co będzie dalej i w co przemienić się ma ustępujący z pola bulanżyzm.

Parisis.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po wrzawie, wywołanej dymisyę Bismarka, nastąpiła w polityce taka cisza, jaka tylko podczas „martwych sezonów“ panować zwykła. W takiej porze najdrobniejszy wypadek staje się dla spragnionej nowin prasy ożywczą kroplą dżdżu. Gdyby przynajmniej goszczący u koronowanych i niekoronowanych dostojników Stanley chciał być nieco gadatliwszym! A tu, jak na złość, milczy lub rzuca słowa, które wiatr szeroko roznosi, lecz z których nie można nic wycisnąć. Na jednej z uczt oświadczył, że mu zabroniono mówić o Eminie. Kto zabronił? Czy nakładca, który wydaje opis podróży Stanleya i nie chce osłabiać zaciekawienia do kosztownej książki? Czy milioner szkocki i jego wspólnicy, którzy zapuszczali sieć dla wyłowienia kości słoniowej, a obecnie pragną ponowić swą spekulacyę pod osłoną milczenia i nie drażnić Emina? Może Stanley wyspowiadał się szczerze przed królową angielską, u której przez kilka dni przebywał, może otworzył swą duszę innym osobom zaufanym, prasie jednak wyślizguje się znakomicie.

Wobec przejścia Emina do służby niemieckiej, wobec zaborów Wissmana i oświadczeń kanclerza Capriviego, że rząd będzie ponosił dalsze ofiary dla utrzymania dokonanych zdobyczy, anglicy muszą pilnie strzedz swojej zagrożonej „sfery interesów“ w Afryce. Wiadomo zaś, że oni każde wielkie przedsięwzięcie zaczynają od milczenia i naprzód robią, a potem mówią. Ich więc dobre miny i słodkie do niemców uśmiechy są niezawodnie osłoną energicznych, w tajemnicy prowadzonych robót. Niemcy przeczuwają tę taktykę i dlatego przy rozprawach nad polityką kolonialną w sejmie więcej odzywało się przestróg, niż zachęt. Począwszy od kanclerza a skończywszy na ostatnim ze zwolenników tej polityki, każdy zapewniał, że nie jest „Kolonialschwärmer.“ Chociaż prasa postępowa i demokratyczna tak opornie zachowała się względem projektu podwyżki sił zbrojnych i podwyżki na ten cel wydatków, że aż obraziła cesarza, otrzyma on od sejmu 18 mil. mar. rocznie. Oznajmił bowiem, że jest to w obecnych warunkach *minimum*, określone po porozumieniu się z delegatami wojskowymi przy dworach zagranicznych.

Antysemityzm wzleciał już do pruskiej Izby panów. Jeden z jej członków zażądał ograniczenia żydów w prawach do wyższego ukształcenia, na co lordowie pruscy, pomimo przeciwieństwa ministra Goslera, zgodzili się. Uchwała ich niema siły ustawowej, ale posiada znaczenie symptomatyczne.

W wiedeńskiej Radzie państwa kręcą się ciągle dawne wiry. Wynurza się z nich, niby wąż morski, galicyjska sprawa indemnizacyi, która nie może dopłynąć do brzegu. Codzień ją topią i codzień na wierzch wydobywają.

Nareszcie Crispi zdecydował się na porzucenie „wielkiej polityki“ w stylu swego przyjaciela i postanowił okroić budżet wojskowy. Niedobór państwa w r. 1891 miał wynosić 35 mil. lirów, a takiego ciężaru kraj by nie wytrzymał, więc po części uznając konieczność ekonomiczną, po części ubezpieczając „teki,“ porobiono w rozmaitych dziedzinach gospodarstwa państwowego oszczędności, które dosięgną 20 kilku milionów.

Goszczący w Rzymie strzelcy francuscy, przyjmowani z wielkim zapałem, targają i przecinają dalej te węzły, jakie Crispi zadziergnął ze swoim „przyjacielem“ — niestety, już tylko piszącym artykuły i pamiętniki. Stosunki francusko-włoskie powoli naprawiają się.

Prezydent Smolka powraca do zdrowia; Milan — którego posądzają o rozstrój umysłowy — przybliża się do Serbii, skąd jeszcze nie uciekła jego żona; proces Panicy w Sofii wkrótce już doczeka się rozstrzygnięcia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŚWIADOMOŚĆ W ROZWOJU SPOŁECZNYM.

III. Warunki historyczne.

Jakaż tedy jest synteza przyszłości?—zapyta ktoś po przeczytaniu poprzedniego artykułu. Wszak uwzględniono w niej jedynie produkowanie dóbr materyalnych i podział ich pomiędzy członków społeczeństwa; nawet samą ustawę prawno-polityczną rozpatrzono wyłącznie w zakresie ekonomicznego zrzeszenia i ekonomicznych stosunków! Przyznalibyśmy zupełną słuszność tym zarzutom, gdyby właśnie nie pierwszorzędne znaczenie owych warunków materyalnych, a nasza synteza, lubo tylko ekonomiczna, jest gruntem, na którym można odgadnąć prawdopodobne ukształtowanie w przyszłości innych stron życia gromadzkiego. Nie zapuszczamy się wszakże w tę dalszą robotę, ponieważ, jak już rzekliśmy, nie chodzi nam bynajmniej o drobiazgowe wycieniowanie wywodów. Natomiast może nastręczyć się inny zarzut, daleko poważniejszej natury. W powyższej syntezie przypuszczono, że wielki przemysł rozwija się nieprzerwanie, że z czasem pochłania i unicestwia zupełnie drobną produkcyę i że dochodzi wreszcie do centralizacyi technicznej we wszystkich gałęziach i w zakresie całego kraju. Czyż jednak fakty pozwalają przypuszczać coś podobnego? Przedewszystkiem musimy zauważyć, że bynajmniej nie mieliśmy zamiaru rzucać tak ryzykownego twierdzenia o wszechpotędze żywiołowego rozwoju. Ze względów czysto wykładowych musieliśmy w poprzednim artykule wydzielić wielki przemysł i przypuścić, że rozwija się on nieprzerwanie i zapanowywa nad całem społeczeństwem, gdyż

— Zupełnie zgadzam się na to, mój kochany, odpowiedział przyjaciel. To też ja nie miałem odwagi się ożenić. Ty byłeś szczęśliwszy, tyś mógł to uczynić!

Sekretarz wstydził się nalegać. Jakieby też miał czoło prosić o pożyczkę dla siebie i dziecka, starego kawalera, który nie śmiał żenić się z powodu szczupłości dochodów? Nie, do tego nigdy by się posunął.

Kiedy wieczorem wrócił do domu, opowiedziała mu żona, że szukało go tu dwóch panów.

— Jak wyglądali? Czy byli młodzi? Czy nosili monokle? Pewnie dwaj porucznicy, starzy dobrzy znajomi z Waksholmu.

— Porucznikami nie byli, wyglądali na starszych!

— Kiedy tak, to już wiem. Byli to starzy przyjaciele z Upsali, prawdopodobnie docent P. i adjunkt Q; widocznie chcieli przekonać się, co w stanie małżeńskim porabia dawny ich Gucio.

— Nie, nie byli z Upsali, byli to sztokholmczycy! Otworzyła służąca. Wyglądali, jak mówiła, podejrzanie i mieli laski.

— Laski! Hm! Któż to mógł być? Co tam, dowiemy się, jak przyjdą poraz drugi.

Tymczasem był na targu i kupił dzbanek poziomek ananasowych za cenę prawdziwie bagatelną, śmieszną nawet!

— Wystaw sobie, cały dzban poziomek ananasowych za półtora korony, teraz, o tej porze!

— Guciu, Guciu! Co będzie z nami?

— Bądź dobrej myśli. Dostałem dziś nową robotę!

— Ale długi, Gustawie!

— To drobnostki, drobnostki tylko! Poczekaj tylko, aż otrzymam wielką pożyczkę!

— Pożyczkę? Ależ to będzie nowy dług!

— Tak, ale pod jakimi warunkami! Teraz nie mówmy o takich rzeczach. Czy poziomki nie były dobre? Co? Czy nie warto by było popić je kieliszeczkiem Sherry? Jak myślisz? Lino, idź do kupca po butelkę Sherry, ale prawdziwego!

Po drzemce poobiedniej żona prosiła o pozwolenie powiedzenia kilku słów. Żeby jednak się nie gniewał.

Gniewał? on? broń Boże! Chodzi o potrzeby domowe — domyślił się.

— Tak jest! W sklepiku niezapłacone, rzeźnik się upomina, dorożkarz chce pieniędzy — wszystko to razem nadzwyczaj jest przykre.

— Nic więcej? Wszyscy oni dostaną swoje pieniądze co do grosza jutro w południe! Co za bezczelność upominać się o takie drobnostki. Jutro będą mieli wszystko, ale stracą zarazem kundmana! Teraz zaś nie mówmy więcej o tem, lecz wyjdźmy na przechadzkę. Niema dorożki! Pojedziemy tramwajem do Zwierzyńca, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Pojechali więc i wzięli osobny gabinet w Alhambrze. Młodzi ludzie w sali restauracyjnej szeptali pomiędzy sobą; wzięto ich za parę awanturniczą. Tak weseli, tak szalejący! Żona jednak wcale nie była za tem! A dopiero rachunek! Czegoby nie mieli w domu za te pieniądze!

Upływają miesiące, zbliża się czas. Potrzeba kołyski, bielizny i ubrania dla dziecka. A tyle tego! Gustaw zajęty przez cały dzień.

Ale ceny zboża naprawdę podskoczyły, nadchodzą złe czasy. Ani tłomaczenia, ani korekty!

Ludzie dziś tak zmateryalizowani, że już nie czytają książek, ale kupują sobie chleb. Co za prozaiczne czasy, w których żyjemy! Znikają ideały, a kapłonów nie dostanie niżej dwu koron za parę. Dorożkarze nie chcą już wozić darmo, bo i oni mają żony i dzieci, i oni także, a sklepikarz nawet domaga się pieniędzy za swoje towary! Oh, co za realiści!

Nadchodzi wreszcie wielki dzień i noc. Trzeba biedz po akuszerkę. Od łóżka chorej przejść musi do przedpokoju, gdzie czekają go wierzyciele. Urodziła mu się córka.

Oczy jego były pełne łez; czuł, że ciążąca na nim odpowiedzialność przechodzi jego siły. Snuje nowe projekty. Ale nerwy jego

tylko wtedy moglibyśmy poznać sprowadzane skutki i wysnuć naszą syntezę. Teraz gdy za pomocą tego oderwania się od warunków chwili zbadaliśmy ustrój, wnoszony w życie przez wielką produkcyę, i to, że przyszłość odpowiednia, oparta na zasadzie demokratycznej, umożliwi masowo nieznany dotychczas w dziejach dobrobyt materyalny, swobodę indywidualną i wiedzę; gdy w dalszym ciągu przekonaliśmy się, że to wejrzenie w możliwe dalsze losy nietylko nie zmniejsza znaczenia ludzkiej świadomości, ale przeciwnie podnosi ją do poziomu potężnej a celowej siły dziejowej, teraz po dokonaniu tego wszystktego możemy zwrócić się od oderwania do warunków nieuwzględnionych — na grunt historyczny. Lecz czyż fakty „historyczne,“ tj: właściwe jasno wyznaczonemu miejscu doby bieżącej, nie zadają kłamu twierdzeniom naszym o nieskończonym rozwoju wielkiego przemysłu? Czyż Anglia np. nie ulega pewnej „dekapitalizacyi“ ku wielkiej uciesze— powiedziałbym — naszym domorosłym filozofom „antykapitalizmu,“ gdyby nie to, że powtarzają oni poglądy, zrodzone gdzieindziej, na łonie poniekąd uprawniających to postępowanie wzorów życiowych: artieli i obszczyny? Temu wszakże zapatrywaniu odrazu można zarzucić, że nie pojmuje ono istoty dzisiejszego społeczeństwa. Jakiś etnograf gotów szukać granic dla oddzielnego społeczeństwa tam, gdzie kończą się szczególne właściwości lingwistyczne, inny — gdzie bieży pas państwowy. Lecz trywialna ekonomia przywołać musi ich do porządku, do wejrzenia głębszego w fakty chwili i w warunki materyalne. Wykazuje ona, że w przeważnej części globu ziemskiego rozsiadło się już jedno zaledwie społeczeństwo, którego głównym ośrodkiem jest Związek północno-amerykański i Europa zachodnia, że za niem istnieje wprawdzie kilka wielkich, jak chińskie, i mnóstwo drobnych, dzikich i barbarzyńskich, lecz ono je wsysa w siebie i utożsamia lub gwałtownie, acz pokojowo zabija. Jest to nowożytny obszar wymienny. Serce jego — to rynek wszechświatowy, z którego wychodząc olbrzymi puls biegnie w oddzielne kraje, roznosząc produkty materyalne i wytwory ideowe; jego systemy krwionośne — to drogi żelazne i linie parostatków, jego nerwy — to jednolicie już urządzone i rozgałęzione siecie poczt i telegrafów. „Organizm“ ten posiada właściwe sobie prawa życia, wymiany materyi martwej i żywej ludzkiej, pożerania innych organizmów, wyrzucania na zewnątrz do kolonij swych cząsteczek. Ustroje polityczne i oddzielne narodowości — to tylko pojedyncze prowincye z coraz mniejszą, własną pulsacyą, coraz silniej wsiąkające w tego nowożytnego potwora. Przypuśćmy, że cały glob ziemski został nagle zatopiony z wyjątkiem naszego kraiku kilkumilionowego. Jakiż to byłby przewrót olbrzymi! Herbata, kawa, wino; śledzie, lekarstwa; tkaniny bawełniane i jedwabne; cała niemal wiedza teoretyczna z przyborami do badania, cały świat wiedzy stosowanej, zwłaszcza zaś technicznej— wszystko to zniknęłoby. A jakież zmiany nastałyby wskutek zniesienia wywozu! Zostalibyśmy rzuceni bezwarunkowo o wiele stopni niżej w rozwoju wiedzy, techniki i stosunków społecznych. Albo uczynimy inną próbę: powstrzymajmy w kraju naszym rozwój wielkiego przemysłu a nawet zniszczmy go, zobaczymy jednakże, że mimo to będziemy mieli do czynienia ze wszystkimi skutkami gospodarki kapitalistycznej i że wskutek zniesienia zakładów wielko-przemysłowych jedynie odsunęlibyśmy po za granice kraju te ogniska, z których wybiega wymienna fala, rujnująca włościanina. Przedstawmy sobie to wszystko, a zrozumiemy, jak silne już węzły łączą nas z międzynarodowym organizmem, jakkolwiek jesteśmy jeszcze stosunkowo samodzielniejsi od innych dzięki temu, że stoimy bliżej pierwotnego punktu wyjścia. Z tego stanowiska i ów samodzielny „kraj-folwark“ jest absurdem, jak to wyrzekł o nim jeden z moich krytyków, posiadający zresztą wielką zdolność czepiania się wyrażeń, lecz nieznaczną wnikania głębiej w myśl cudzą.

Mówiąc o nieodzowności bezustannego rozwoju i zeskrodkowywania wielkiego przemysłu, mieliśmy na myśli nie jakiś kraj pojedynczy, lecz właśnie ów nowożytny organizm społeczny. Przemysł na wielką skalę może upadać w pojedyńczych krajach, lecz tylko po to, aby silniej rozwinąć się w innych; Anglia np. staje wobec „dekapitalizacyi“ (naturalnie względnej), ponieważ gdzieindziej kapitał znalazł dogodniejsze warunki dla wyzysku. Słowem, w jakiejś szczególnej jednej lub kilku prowincyach obszaru wymiennego centralizacya przemysłowa może drogą wprost żywiołową dojść do wysokiego stopnia rozwoju, wyłaniając jednocześnie nader liczne żywioły ludzkie, które na zasadzie swego życiowego stanowiska usiłować będą oprzeć ją na podstawie demokratycznej. Natomiast w innych miejscowościach wielki przemysł może pozostać na bardzo nizkim poziomie, jakkolwiek wszędzie ukazał się już—chociażby dla częściowego zawładnięcia rynkiem wewnętrzno-krajowym. A zatem stojąc na gruncie tych ostatnich, pojedynczych krajów, dałoby się uczynić zarzut naszej syntezie, że lubo jest ona słusznem sformułowaniem dążności właściwych wielkiej produkcyi, wszakże, z wyjątkiem niektórych prowincyj, nigdzie nie zostanie urzeczywistniona, dzięki niedostatecznemu rozwojowi przemysłu i wynikającemu stąd brakowi odnośnych żywiołów ludzkich w życiu społecznem. Błędnem wszakże byłoby to mniemanie. Niepodobna nam rozwijać poglądów w tej mierze; zauważymy jednak, że nietylko należy patrzeć na liczebność odnośnych pierwiastków historycznie czynnych, lecz i samo zagadnienie trzeba rozpatrywać, mając wciąż na uwadze historyczne warunki międzynarodowe wraz z oddziaływaniem idej. Idea pewna wysnutą zostaje w szczególnej atmosferze materyalno-przedmiotowej i wśród niej urzeczywistnianą powoli. Atoli, jeśli została gdzieś wypowiedzianą i wcieloną, tem samem staje się nową sprężyną w rozwoju dziejowym i oddziaływa odpowiednio już jako potęga materyalna w krajach, gdzie stosunki nie doszły niby do wymaganego stopnia dojrzałości. Pod tym względem ciekawego dowodu dostarczyłyby chociażby idea wyzwolenia włościaństwa z więzów poddańczo-feodalnych oraz nowoczesnego prawodawstwa fabrycznego — naturalnie, używamy tych przykładów z możliwem zastrzeżeniem. Zależność zaś stosunków jednego kraju od idei, gdzieindziej wyłonionej i urzeczywistnionej, jest tem większa, im nowoczesny organizm wymienny zostaje silniej zcalkowany i powiązany.

Należałoby jeszcze dla uzupełnienia obrazu wskazać, jakie to grupy społeczne dążą do oparcia ustawy prawno-politycznej kraju-folwarku na zasadzie demokratycznej, jak względem niej zachowywać się będą inne, jaką taktykę winny one wybrać. Byłoby to uzupełnieniem koniecznem całego naszego szkicu o świadomości w rozwoju społecznym. Z wielu względów nie potrącimy jednak o to, zauważymy tylko, że jedynie racyonalną polityką po za sprawą organizowania odpowiedniej grupy i zdobywania praw w społeczeństwie, jest walka przeciw tym warunkom przedmiotowym, które uniemożliwiają człowiekowi zrozumienie pożądanych ideałów i rzucają go w inne widnokręgi społeczne. Mniejsza je-

---

są rozstrojone. Dostał jakieś tłomaczenie, nie może jednak siedzieć nad niem, gdyż ciągle biegać musi za interesami.

Co tchu leci do teścia z radosną nowiną.

— Jestem ojcem!

— Dobrze, a czy masz chleb dla dziecka?

— W tej chwili nie mam, teść mi pomoże!

— Tak, na ten raz! Ale na przyszłość — nigdy!

Nie ma więcej, aniżeli potrzebują oni sami i pozostałe dzieci.

Tymczasem położnicy potrzeba kurcząt, które on sam kupuje na targu, oraz wino „Johanisberger“ po 6 koron za butelkę.

Akuszerka dostaje sto koron. Dlaczegoż by mieli dać mniej, niż inni? Wszak i kapitan dał sto koron!

Młoda mężatka wstała prędko.

Znów jest jak młoda panienka, smukła jak łania, trochę blada, ale dobrze jej z tem.

Przychodzi teść i rozmawia z Gustawem na cztery oczy.

— Teraz bądź łaskaw zaprzestać z dziećmi, bo inaczej zginiesz.

— Co za mowa ze strony ojca! Czyż nie jestem mężem a ona moją żoną? Czy nie kochamy się? Czy nie wolno mieć dzieci?

— O, tak! Ale potrzeba mieć i chleb dla nich! Chętnie kochają się wszyscy młodzi ludzie, chcą mieć dzieci i szukają rozrywki... ale odpowiedzialność!

— I teść stał się materyalistą! Co za nędzny czas, niema ideałów!

W domu nieład. Nie można było stłumić miłości, gdyż była silną, a umysł młodych miękkim. Niemiękkim jednak był komornik. Groziło zajęcie i upadłość. Zajechał raz teść w dużej karecie podróżnej i zabrał córkę wraz z wnuczką. Zięciowi zaś zabronił pokazywać się, póki nie będzie miał chleba i nie spłaci długów. Córce nie nie powiedział. W drodze jednak zdawało mu się, że uwiedzioną odwozi do domu. Wypożyczył był kawalerowi niewinne dziecko swoje na rok, a odbiera je w stanie nieco nadpsutym. Ludwika chętnie zostałaby przy mężu, ale przecie nie mogła wraz z dzieckiem mieszkać na ulicy.

Pozostał tedy Gustaw i musiał patrzeć, jak mu dom wypróżniali. Naprawdę jednak żadna z rzeczy nie należała do niego, bo nie była zapłaconą. Dwaj panowie z monoklami zabrali łóżka, naczynia miedziane i blaszane, serwis, żyrandol, wszystko, wszystko! A gdy został sam w obu pustych pokojach, jakże smutno było mu na sercu! Gdyby chociaż była tu ona! Ale cóżby robila wśród tej pustki! Lepiej, że się tak stało.

Zaczęła się gorzka prawda życia. Otrzymał posadę korektora w jednej z gazet porannych. O północy wychodził do redakcyi i pracował tam przez trzy godziny. Ponieważ do upadłości nie doszło, pozostawiono go w urzędowaniu, ale od awansu wykluczono.

W końcu wolno mu było raz na tydzień widywać się z żoną i córką, zawsze jednak pod kontrolą.

Noc wtedy spędzał w izdebce tuż obok pokoju swojego teścia. W niedzielę wieczorem musiał już wracać do miasta, gdyż gazeta wychodziła w poniedziałek rano.

Żegna się co tydzień z żoną i dzieckiem, które odprowadzają go do drzwi ogrodowych, a on zdaleka jeszcze czułe daje im znaki. Potem zaś tak bez granic czuje się nieszczęśliwym, tak nędznym, tak upokorzonym! A ona?

Obliczył, że na spłacenie długów potrzeba mu lat dwudziestu. A potem! Potem jeszcze nie będzie w stanie zabezpieczyć losu żony i dziecka. Czegoż więc się spodziewa? Niczego! Jeśli umrze teść, żona jego i dziecko nie będą już miały nic; nie śmiał więc przeklinać tej jedynej ich podpory!

O, jak okrutnem jest życie! Ludziom utrzymania zapewnić nie może, podczas gdy daje pokarm wszystkim innym stworzeniom!

O, jak okrutne, jak okrutne! Że też to życie nie wszystkim dostarcza kuropatw i poziomek ananasowych! Jak okrutne, jak okrutne!

---

dnak o to; w niniejszej pracy chodziło nam głównie o co innego — o wykazanie bezzasadności wielu zarzutów, stawianych pojmowaniu „materyalistycznemu.“ Sądzę, iż zdołałem wykazać, że są to jedynie twierdzenia gołosłowne. Zarzucano, że uniemożliwia ono syntezę przyszłości i zamraża działalność fatalizmem, podczas gdy wyłoniony przezeń obraz należy do najszerszych i oparte na nim czyny czerpią ufność w wszechpotędze ludzkiej nauki. Zarzucano mu również, że sprzyja ono dogmatyzmowi; być może, ktoś, dzięki ograniczoności pojedynczego mózgu, gotów nie widzieć jakichś faktów, lecz wtedy mija się właśnie z najgłówniejszem wymaganiem swego stanowiska, które żąda liczenia się z wszystkiemi warunkami życia społecznego. Wyjaśnić owe zarzuty można jedynie tem, że krytycy przedewszystkiem zapomnieli o jakiemkolwiek przestudyowaniu naukowych prac przeciwników. Natomiast musimy się zgodzić, że pojmowanie materyalistyczne niewielu liczy badaczów. Pamiętajmy wszakże, że ukazało się śród zapasów społecznych, jako wynik doświadczenia, że zrodziło się nie w celu przedstawienia przeszłości, lecz jako klucz dla zrozumienia chwili tegoczesnej, że jego rzecznicy — to nie etatowi uczeni, pracujący zdala od życia nad zagadnieniami teoretycznemi, lecz ubodzy działacze praktyczni w codziennej walce interesów, a łatwo pojmiemy i przebaczymy tę wadę... Zresztą materyalistyczne pojmowanie jest dzisiaj — np. w Niemczech i Austryi — przewodnią myślą zarówno społeczno-zachowawczych, jak i społeczno-przewrotowych kierunków, obu chodzi o złamanie jednych, utrzymanie innych stosunków rzeczowych — odpowiednio do celów. Przypatrzmy się obu tym obozom. Niedawno ukazał się artykuł znanego ultramontanina Vogelsanga: *Społeczna wymiana materyi* *). Autor wykazuje, że z zapanowaniem maszyny parowej rozpoczął się w społeczeństwie okres nadmiernego zużywania i wymiany cząsteczek społecznych a zarazem dążność ku ześrodkowaniu sił społecznych, pochłonięciu drobnego przemysłu przez wielki, oderwaniu człowieka od stałej siedziby, uruchomieniu ludzi i rzeczy oraz przekonań. „Koleje otrzymają z czasem taryfę strefową a nawet jednościową, tak, iż za 25 krajcarów przejechać będzie można państwo z jednego końca do drugiego. Coraz liczniejszy i zwiększany przez wywłaszczonych chłopów i zrujnowanych rzemieślników proletaryat fabryczny będzie stosownie do zapotrzebowania pracy rzucany po kraju, bez rodziny, siedziby, wreszcie bez religii. Społeczeństwo zostanie pozbawione oparcia pod nogami. Niesłusznem byłoby nawet twierdzić, że wróci ono do stanu koczowniczego. Koczownik zmieniał siedzibę, lecz brał wszystko z sobą, co zeń czyniło istotę społeczną: rodzinę, bogi, trzody, namiot, odziedziczone po przodkach zwyczaje.“ Vogelsang dochodzi do wniosku, że należy okiełznać rozwój wielkiej produkcyi wraz z właściwą jej szybkością wymiany i środkami przejazdu. Natomiast zachowanie warunków technicznych, sprzyjających osiadłości, a mianowicie rzemiosła i włościaństwa, winno być drugiem wielkiem zadaniem polityki zachowawczej. Niepodobna nam głębiej wnikać w projektowane środki, lecz z nich jako też z całego powyższego szkicu przebija liczenie się z warunkami przedmiotowymi, dążność do usuwania niekorzystnych a rozwoju sprzyjających. Jako wzór inny, wybierzemy Liebknechta **). Stoi on na stanowisku, które możnaby w naiwności nazwać szczepieniem kapitalizmu. O ile rozwój wyłania wielką produkcyę, jest on dla niego prądem postępowym, niosącym wyzwolenie ludzkości. Co przestrasza Vogelsanga, to jest dlań pożądane—i naodwrót. Ponieważ drobna własność jest jedynie hamulcem na drodze rozwojowej, zamiast mrzonki uwłaszczania ludzi na drobnym zagonie i nawracania ich następnie w kierunku zrzeszenia demokratycznego, żąda on wywłaszczenia „ekspropriacyi“ chłopów (str. 170). „Wszelka, jakiegokolwiek rodzaju parcelacya — mówi on — nawet na korzyść proletaryatu wiejskiego, jest godną potępienia, bo zmienia ona tylko formę poddaństwa ekonomicznego i nędzy“ (str. 176). „Wywłaszczenie“ to rozkłada on na całe dziesiątki lat, żądając już dzisiaj od rządu odnośnych reform. Państwo winno na gruntach koronnych zorganizować produkcyę rolną o wielkiej skali i dać tutaj zajęcie proletaryuszom rolnym; jest to tem łatwiejsze, że może ono zapewnić sobie rynek zbytu wśród robotniczych personelów kolejowego i górniczego, wreszcie wśród wojska. Pomieszczenie w tej produkcyi rąk najmickich wiejskich pozwoliłoby państwu oddziaływać regulująco na poziom zarobków rolnych, zajęcie zaś kilku rynków zbytu rolnego pogorszyłoby położenie innych kół wytwórczo-wiejskich. W ten sposób można świadomie i celowo doprowadzać do ruiny chłopów, których osady zostawałyby wykupywane i wcielane do gospodarstwa państwowego. W dalszym ciągu państwo winno wykupić wszystkie hypoteczne długi ziemskie i umożliwić dalsze wypożyczanie sum, chociażby do zupełnego zadłużenia. Pożyczki byłyby dawane na nader nizki procent, lecz natomiast dłużnik poddawałby się kontroli biur agronomicznych, które zmusiłyby go do porzucenia indywidualnej gospodarki i stworzenia z obdłużonymi towarzyszami spółek zbiorowej uprawy. Mamy znowu podobne stanowisko jak u Vogelsanga — liczenie się nie z ludźmi, lecz ze stosunkami rzeczowymi. Jak widzimy, pojmowanie materyalistyczne, polegające między innemi na poglądzie, że nie każdy odłam społeczny jest zdolny stanąć masowo pod szczególnym sztandarem, jest wyznawane przez bardzo dalekie i wrogie sobie partye praktyczne. Właśnie to jest najlepszym dowodem jego słuszności.

K. R. Żywicki.

*) *Monatsschrift für christliche Sozial-Reform.* Zeszyt lutowy.

**) *Zur Grund- und Boden-Frage.*

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ.

Szereg epitetów naszego stulecia należałoby uzupełnić mianem wieku historycznego: niema bowiem dziedziny, którejby nie obrobiono w rodowodzie, a ocenianie wszelkich zjawisk i postępów kultury ludzkiej z dziejowego punktu widzenia jest stanowczo cechą naszych czasów. Znalazł się również historyk, wychodzący z założenia, że miłość nie mogła pozostać jednaką w ciągu wieków, zmieniających człowieka fizycznie, umysłowo i moralnie. Amerykanin H. T. Finck poświęcił badaniom nad tym przedmiotem dzieło dwutomowe, które słynny poeta Brachvogel przełożył na język niemiecki *). Traktuje on miłość romantyczną w związku z pięknością osobistą, a naukowa część jego dzieła zawiera próbę zastosowania Darwinowskich praw rozwojowych, z uwzględnieniem teoryi Schopenhauera.

Dziwnem wyda się niejednemu twierdzenie autora amerykańskiego, że miłość romantyczna, czyli przedślubna, znaną jest szerokim kołom społeczeństw cywilizowanych dopiero od r. 615, kiedy Dante poraz pierwszy ujrzał Beatryczę. Finck pojmuje miłość taką jako przeciwieństwo zmysłowej, jako najgłębsze i najpotężniejsze uczucie ludzkie, z którem nawet miłość marzycielska równać się nie może. Opisuje ją jako źródło szczęścia najwyższego, zowie ją miodowymi miesiącami życia, rajem ziemskim. Podczas trwania jej dusza rozwija się rychlej, aniżeli w długich okresach życiowych, pozbawionych ożywczego jej promienia: staje się delikatniejszą i szlachetniejszą, dojrzalszą i potężniejszą. Miłość ta przygłusza nizkie w mężczyznie popędy, pobudza polot jego myśli, mowie nadaje wdzięk, wpaja weń skłonność do prawdy i żądzę odznaczenia się. Kobieta zaś nigdy nie ceni głębiej wszystkiego, co dobre i piękne, aniżeli w okresie miłości romantycznej. Oto główne dźwięki tego uczucia, składające się na symfonie różnorodne: wyszczególnianie osobnika płci drugiej, żądza wyłącznego posiadania go, zazdrość i współzawodnictwo, hardość i kokieterya u kobiet, rycerskość i zaparcie się u mężczyzn, sympatyczna wymiana wrażeń miłych i przykrych, duma ze zdobycia i posiadania, nadmiar wzruszeń sercowych, trwoga i rozkosz powiązane z niepewnością, podziwianie piękności osobistej.

Wzruszenia, połączone z miłością romantyczną, według historyka jej, prawie nieznane były czasom starożytnym i średniowiecznym. Wypływało to z podrzędnego stanowiska kobiet i z niemożebności zalotów. Młodzież płci różnych nie miała sposobności do stykania się. Wola rodzicielska, wzgląd na korzyści zewnętrzne rozstrzygały wybór, którego dokonać winna miłość. Finck dowodzi, że nawet grecy nie znali miłości romantycznej, że tradycya narodowa wykluczała kult żywiołu kobiecego w szlachetniejszem tego słowa znaczeniu, a dozwalała jedynie miłości platonicznej między osobnikami jednej płci. Według niego, jedyny Platon ganił ścisłe czuwanie nad kobietami i przemawiał za tem, by młodzi ludzie zapoznawali się ze sobą przedślubem. Rzymianin Owidyusz przeczuwał miłość romantyczną. Zważywszy, że minstrele średniowieczni poprzestają niemal wyłącznie na opisywaniu cielesnych wdzięków kochanek, Owidyusz był jedynym wielkim poetą miłości przed Dantem, który poraz pierwszy ogłosił ewangelię romantycznego uwielbiania dziewicy, co prawda, w sposób zbyt nadzmysłowy. Dopiero Shakespeare'owi udało się w stosunku Romea i Julii przedstawić prawdziwą proporcyę idealnych i realnych pierwiastków miłości. Atoli ten poeta wyprzedził kulturę swego czasu: dopiero w ciągu ostatnich dwóch stuleci miłość u wszystkich ludzi cywilizowanych przyjęła owe cechy istoty i formy, w jakich poprzednio występowała tylko w duszach ludzi wybranych.

Zbadawszy poszczególne pierwiastki miłości romantycznej, o których wspomnieliśmy na wstępie, autor zastanawia się jeszcze nad różnicami romantycznej i małżeńskiej, nad stosunkami ludzi gienialnych do kobiet, nad mimiką wyrażającą miłość, wreszcie nad sposobami obudzenia i usunięcia jej. Między innemi poleca on nieszczęśliwym kochankom, by rozważyli, że kobiety wskutek powierzchownego wykształcenia swego nie dorównywają mężczyznom na polu miłości romantycznej. Uwaga ta sprzeczną jest nietylko z prawdą, ale i z drugiem twierdzeniem samego autora, który zaznacza, że w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu piękność kobiet, zarówno umysłowa jak fizyczna, rozwinęła się w sposób nieznany w całej dotychczasowej historyi. Paradoksalną jest też pociecha, udzielona starym pannom. „Wiadomo, że wiek ślubny wzrasta z postępem cywilizacyi. U ludów, stojących dziś na czele cywilizacyi, przeciętny wiek kobiet, wychodzących za mąż, wynosi 21 lat, a widoczną jest tendencya posuwania się dalej. Stąd wypływa wniosek, że dziewczęta, które dziś żyją w stanie wolnym, licząc lat 25 lub 29, są poprzedniczkami wyższego typu kobiecego

*) *Romantische Liebe und persönliche Schönheit.* Wrocław, Schottländer, 1890.

cywilizacyi nowoczesnej.“ Wartoby zbadać, czy za firmą H. T. Fincka nie kryje się kobieta.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

„Das Glück,“ powieść Oskara Redwitza. — Autor dramatu „Ehre“ jako powieściopisarz. — Albertiego powieść społeczna „Wer ist der Stärkere?“ — Nowy dramat Gerharda Hauptmanna „Ein Friedensfest.“

Oskar Redwitz należy do owych nierzadkich w literaturze postaci, które dla ludzi o wyrobionych zasadach stały się niesympatycznemi wskutek karyerowiczostwa politycznego, a których utwory mimo to czarują siłą prawdziwego talentu, urokiem prawdziwej poezyi. Urokowi temu ulega czytelnik tem łatwiej, jeżeli nowy utwór pisarza zamyka się w dziedzinie niezawisłej od polityki, jeżeli dotyka tylko stron czysto ludzkich. Podczas gdy Wildenbruch jako poeta wziął ślub z hofratowstwem pruskiem, Redwitz, syt orderów i sławy urzędowej, powrócił na pole powieści mieszczańskiej i dowiódł, że w nim spoczywa znaczny jeszcze zasób szczerej poezyi. Nowa powieść jego „Szczęście“ rozwiązuje zagadnienie, gdzie szukać należy prawdziwego szczęścia, w myśl filozofów, którzy odwracając się od życia zewnętrznego i jego zdarzeń, niezawisłych od woli ludzkiej, wskazują wnętrze człowieka, jako jedyne niezawodne źródło zadowoleń. Zamiast gonić za uśmiechami fortuny, pędzącej przez świat na kuli, powinniśmy z całem wytężeniem sił umysłowych i moralnych dbać o podźwignięcie skarbu, zamkniętego w piersi naszej. Skarbem tym jest poznanie niedostateczności i ułomności spraw i rzeczy doczesnych, poczucie obowiązku, spokój niezakłócony zazdrością, zadowolenie z własnego losu i spokojna, bezustanna praca około jego poprawy. Taką jest treść utworu Redwitza. Autor, jako artysta prawdziwy, nie wypowiada tych myśli w wywodach doktrynerskich, jeno losami postaci nakreślonych żywo, z wielką znajomością świata i serca ludzkiego. Zapoznaje on nas z rodziną dzielnego obywatela, który rozporządzając dostatecznymi dochodami, wychowuje starannie swe dzieci. Atoli jest on urzędnikiem, nieposiadającym majątku; a kiedy tuż przed awansem wyczekiwanym śmierć zabiera go rodzinie, żona i dzieci pozostają w nędzy zupełnej. Syn najstarszy, młodzieniec o wybitnych zdolnościach, ale niemniej wybitnej ambicyi i chęci używania, znajduje oparcie w bogatej rodzinie swego przyjaciela i kolegi. Matka zaś z synem młodszym i córeczką przenosi się do mniejszego miasta, gdzie pracą rąk zarabia na utrzymanie skromne. Zrazu źle się wiedzie opuszczonej rodzinie; mimo pilności i skromnych wymagań, walczy ona z niedostatkiem, a nawet głodem. Powoli stosunki jej się polepszają, lecz uczciwi ci ludzie nie pozbywają się skromności nawet wówczas, kiedy szczęście znów pełnymi promieniami ich ogrzewa. Syn młodszy dobija się pozycyi wygodnej i szacunku powszechnego, córka wychodzi za właściciela dóbr. Najstarszy syn, po wzorowem odbyciu studyów, nie doświadczywszy nigdy niedostatku ani troski, poślubia córkę swego protektora, a tem samem zostaje milionerem. Nie zaznał on jednak nigdy zadowolenia: łatwość zaspokajania wszelkich życzeń i fantazyj budzi w nim tęsknotę za owem szczęściem szczerem, czystem, prawdziwem, które upiększa życie jego rodzeństwa, a nie zadowolenie to czyni go w końcu człowiekiem złym. Wczesna śmierć przerywa życie jego, zanim doznał błogosławieństw spokojnego zadowolenia.

Z zajęciem bierze się do rąk nową powieść Hermana Sudermanna, który dramatem „Ehre“ stanął w rzędzie najwybitniejszych realistów niemieckich. Autor ten, którego poprzednia jego powieść „Frau Sorge“ pojawiła się właśnie w czwartem wydaniu, obrał temat nienadający się do harmonijnego, artystycznego przeprowadzenia. Mimo niezwykłej plastyki opowiadania i jasności charakterystyki, utwór nie zadawala. Bohater powieści, baron Bolesław, wiedząc, że ojciec jego był zdrajcą kraju, dąży do rehabilitacyi jego imienia; w ten sposób wytwarza sprzeczność z własnem sumieniem. Przypadek sprzęga los jego z kobietą, która niegdyś, jako młode, zepsute dziewczę żyła z jego ojcem, a dziś w namiętnej dla syna miłości okazuje potęgę prawdziwego uczucia. Że autorowi nie udało się pokonać trudności tkwiących w tych dziwacznych motywach, tego dowodem, że kula zrywa ostatecznie powikłane sieci. Akcya powieści odgrywa się podczas pobytu Napoleona na Elbie, a ponowny wybuch wojny pozbawia życia Bolesława. Bohaterka Regina zginęła już przedtem.

Osnowa jest najsłabszą stroną w utworach realistów niemieckich, którzy u Zoli Tołstoja i Dostojewskiego uczą się jedynie charakteryzowania. Według tej recepty napisał Conrad Alberti berlińską powieść społeczną p. t. „Wer ist der Stärkere?“ (Kto silniejszy?). Jest to właściwie wiązanka sylwetek typów nowoczesnych, nakreślonych ręką autora bezsprzecznie uzdolnionego. Na zapytanie, wypisane w tytule powieści, odpowiada treść jej, że zwycięztwo przypada moralności konwencyonalnej, wielce zbliżonej do niemoralności.

Głębiej pojął walkę współczesnych systemów moralnych Gerhard Hauptmann w najnowszym swym dramacie „Ein Friedensfest,“ ogłoszonym w organie stowarzyszenia „Freie Bühne,“ wychodzącym pod redakcyą Ottona Brahma. Wprawdzie nie pozbył się jeszcze młody poeta drobnych śmieszności, wypływających z gonienia za oryginalnością; dramat swój nazywa „katastrofą rodzinną w trzech zdarzeniach,“ a każdą z postaci występujących zaopatruje zawsze jeszcze w paszport dokładny; jednak utwór ten oznacza postęp niewątpliwy od poprzedniego „Vor Sonnenaufgang“ i to postęp w kierunku czysto artystycznym. Udało mu się podłożyć utworowi swemu rys istotnie zasadniczy dla charakterystyki czasów naszych. Podczas gdy wiek XVIII żył w ciągłej orgii uczucia, płacząc niejako na ulicy, nasze stulecie powstydziło się odkrytego serca, zamknęło je szczelnie i dziś formalnie współzawodniczą ludzie w chowaniu tej części organizmu ludzkiego. W nielicznych, szlachetniejszych jednostkach, kierunek ten spotęgował czystość i szczerość uczucia, dla większości zaś ten ascetyzm sercowy jest niemniej niebezpieczny, aniżeli sentymentalny nadmiar w stylu Werthera i Jana Pawła. Zgniatamy serce nasze, wstydzimy się współczucia a nawet uczuć rodzinnych, oziębłość jest najmodniejszą formą stosunku ludzi połączonych węzłami krwi. Taką to rodzinę przedstawia Hauptmann. Dr. Scholz, były lekarz, człowiek zdolny, ale dziwaczny, poślubia w czterdziestym roku życia młodą, niewykształconą dziewczynę. Żyjąc z nią w samotnej willi i nie znajdując żadnego u niej zrozumienia, tetryczeje zupełnie. Z kształceniem dzieci czyni najdziwaczniejsze próby, a gdy te chybiają, obojętnieje dla własnego potomstwa. Synowie Robert i Wilhelm uciekają z domu rodzicielskiego, w którym siostra ich wyrasta na osobę smutną, nieznośną dla siebie i innych. Przykre się dzieje tej rodziny. Robert, obrawszy zawód inżenierski, wychodzi na typowego egoistę i cynika nowoczesnego, Wilhelm, natura miększa i szlachetniejsza, zostaje muzykiem. Od czasu do czasu odwiedzają synowie dom rodzicielski. Kiedy Wilhelm pewnego lata wrócił z przyjacielem, z którym matka jego kilkakrotnie grywała na fortepianie, ojciec obwinia żonę o wiarołomność, a oburzony syn porywa się nań. Od lat sześciu nie utrzymuje żadnych z rodziną stosunków. Wtem poznaje Idę Buchner i matkę jej, kobiety pełne dobroci i szlachetności, które odwzajemniają mu się sympatyą, Wilhelm, który jako młodzieniec żył rozpustnie, czuje się niegodnym Idy. Jednak, ulegając czarowi miłości, zaręcza się, a pani Buchner postanawia pogodzić go z własną rodziną. Z naiwną śmiałością kobiet prawdziwie dobrych, zaprasza się do Szolców na wigilię Bożego narodzenia. Akcya rozpoczyna się w chwili, kiedy goście zjechali do domu Szolców i odgrywa się w ciągu kilku godzin w jednym z pokojów ich domu. Pani Buchner łudzi się nadzieją, że choinka odrodzi zaginione uczucia rodzinne Szolców. Atoli zimno ogarnia czytelnika zaraz w pierwszych scenach. „Ojciec mój — rzecze Robert — jest dla mnie doktorem Szolcem, a jeżeli człowiek ten nie jest dla mnie tak obojętnym, jak ten lub ów głupiec, tłomaczy się tem chyba — no, że jestem sam wytworem jego głupoty.“ Atoli gdy Wilhelm pod wpływem Idy korzy się, acz pełen gniewu, przed ojcem, którego znieważył, na chwilę Buchnerom świta nadzieja zwycięztwa. Nawet Robert w rozmowie z Wilhelmem uczuwa słabą iskierkę miłości braterskiej, a przy końcu wybornej tej sceny przyznaje, że oddawna nie czuł tak naglącej potrzeby plunąć na samego siebie. Atoli wnet następuje zwrot naturalny. Nie powoduje go rozprawa teoretyczna, jak w „Vor Sonnenaufgang,“ jeno sprzeczność żywiołów, które się zbliżyły. Panie Buchner intonują kolendę: w tej chwili Szolcowie dochodzą do świadomości, że zapuścili się w „komedyę dziecinną.“ Robert szydzi z wzruszającej sceny, która się właśnie między nim a bratem odegrała, pani Buchner rozpacza, rezygnując z pogodzenia takich ludzi. Sam Wilhelm, pełen zgrozy, uczuwa w żyłach swych zimną krew rodziny swej, porywa go trwoga o samego siebie i już pragnie zerwać z Idą. W tem ojciec jego, którego wybuch dawnej choroby powalił, umiera w pokoju sąsiednim. Ida namiętnie nakłania narzeczonego, by uwierzył w samego siebie. Pod wpływem szlachetnej tej kobiety wraca mu wiara; kiedy Robert zarzuca mu: ojciec i ty, wyście tak podobni, iż zamienić by was można, Wilhelm odpowiada: każdy człowiek jest nowym człowiekiem; a sztuka kończy się symbolicznemi słowami: Wilhelmie, zdaje mi się, że ojca twego już niema!

W ten sposób z rozbitego „święta pokoju“ wyrasta wyższy pokój duszy. A i postać Wilhelma, jako artysty, jest symboliczną: sztuka uzdrowić ma nowe pokolenie, łącząc je na nowo z krainą uczucia i ideałów.

Ladawa.

LITERATURA POLSKA.

EROS I IRONIA.

Wierzbicki Józef Stanisław: *Zosia i Księga pamiątek.* Warszawa, 1890.

Ze wszystkich objawów twórczości estetycznej w Polsce, najmniej ustępstw dla wymagań czasu zrobiła Muza poetycka. Jeśli zaś zrobiła jakie, przyszło to jej bardzo opieszale. Poprostu lira, na której ona, a raczej jej adepci grają—nastrojona jest w ten sposób, że nie może odbrzmiewać szerokiej skali uczuć zbiorowych, lecz kwili jednostronną gamą jednostkowych — egotycznych. Z wielkim chórem pragnień, nadziei i bólów gromad walczącej ludzkości — lirnicy nasi dźwięki swoje rzadko łączą. Najczęściej, po kilku akordach zgodnych, usuwają

się na bok, żeby wydawać jęki Gustawów, Werterów, Petrarków. Popęd płciowy, nie w owej wiekuistej zdrowej treści, lecz przykrojony do ciasnego Prokrustowego łoża współczesnej rodziny, oprzędziony misterną pasorzytniczą tkanką uczuć monogamicznych (zazdrość, duma męzka pierwszeństwa itp.) — oto ostatnie słowo ich erotyk. W zacietrzewieniu samczem tyle tylko świata otaczającego dojrzeć mogą, ile go przegląda przez wązką źrenicę kobiety. Żeby na ich lirach istotny duch wieku grał, potrzeba im inne struny ponaczepiać, nie dość tego— potrzeba samym lirnikom nowe mózgi i serca powstawiać... Spieszę czytelnika uprzedzić, że te uwagi stosuję do tych naszych poetów młodych, którzy w swem łonie pieszczą niewątpliwą „iskrę bożą,“ godną rozdmuchania w płomień pieśni Tyrteuszowej; innych, w których piersiach nigdy ona nie tliła, zaliczam do szarego tłumu bezmyślnych wierszorobów-atawistów i chrzcę poprostu mianem — grafomanów.

Zaczynam ocenę od autora *Hanki*. Niniejszym tomikiem poezyj, p. t. *Zosia i Księga pamiątek*, p. Wierzbicki utwierdza nas w przekonaniu, że jego muza jest jednym z ostatnich ech romantyzmu. Miłość w najrozmaitszych fazach rozwoju i w różnych kombinacyach całkowicie wypełnia najnowszą wiązankę rymów p. Wierzbickiego. *Zosia* — jest to krótki poemacik, poświęcony uwiedzeniu. Wątek nienowy. Autor jednak potrafił oświetlić go po swojemu. Oto jak opisuje chwilę fatalnego w skutkach zapomnienia się bohaterki:

„Miękko, słodko i bolesnie
Pod drzewami na murawie...
Wpół omdlała, niby we śnie,
Jak ptak ranny kwili łzawie...
Wszystko wkoło niej się zmroczy
Pośród sadu i na łące...
Widzi tylko jego oczy,
Jak dwie gwiazdy pałające
Wiecznie nad nią...“

Tu Węgierski z Bocacciem wzięli się pod rękę. Tych dwóch strofek wystarczy dla plastycznej wyobraźni pensyonarki, żeby w chwilach samotności rozpalać zmysły dziewicze, tak jak autor swoje zapewne w czasie tworzenia poetyckiego rozpalał... Jest i morał. Zosia dlatego dała się uwieść kuzynowi, że ją ciotka wychowała sposobem klasztornym, w odosobnieniu, zdala od oka mężkiego. Książki zakazane także nie pozostały bez wpływu. Oto, jak ciotka mądrze przestrzegała siostrzenicę, dając jej romanse do czytania:

Odkreśliwszy ołóweczkiem
Karty w książkach najciekawsze:
„Tu nie czytaj, pomnij zawsze:
Tym się zgorszysz kawaleczkiem!“

To też siostrzenica nie omieszkała przeczytywać miejsc przekreślonych i

Pochłaniała, jak szalona,
Te zepsucia arcydzieła,
Serce biło, twarz płonęła,
Otwierały się ramiona.

Aż oplotły w jedną noc majową szyję Antosia-gorszyciela. Wezgłowiem nieszczęsnej były liście, pościelą murawa, jak zapewnia poeta, świadkiem — Bóg i gałązki drzew sadu, które się obejmowały „ogniście.“ Druga część poemaciku trzymana jest w posępnym nastroju, według przysłowia: „miłe złego początki, lecz koniec żałosny.“ Poeta nie kusił się o oryginalność scenery rozwiązania smutnego dramatu, posiłkował się starymi efektami: śmiercią ciotki, która hańby przeżyć nie mogła, zamiecią śnieżną, śród której, z płodem sromoty pod sercem, tuła się wygnana z pod rodzinnej strzechy przez nielitościwych spadkobierców—Zosia. W tem miejscu poeta posadza wichry, burzy o zamiar uniesienia chaty znachora (który przygarnął nieszczęsną) w górę, na skrzydłach (!), i pokazania obrazu nędzy temu samemu Bogu, który zarazem jest stróżem świętych związków monogamicznych... Bohaterka, powiwszy dziecię, przepada bez wieści. A wszystko to opowiedziane jest wierszem ośmiozgłoskowym, ulanym z jambów lekkich i dźwięcznych. O, bo p. W. umie często śpiewnie wierszować, czasem struną Mickiewicza, czasem Zaleskiego brząknąć. Ci dwaj mistrze słowa polskiego dużo mu z swej formy użyczyli...

Znać to szczególnie w *Księdze pamiątek*. Jakie to są pamiątki? Wspomnienia przeszłości serca. Są to dzieje dwóch miłości, któremi ono po ko kolei było wstrząsane. Pierwszy przedmiot westchnień poety budził w nim tak czyste i eteryczne pożądania, że temu okresowi wzruszeń miłosnych nie wahał się poświęcić wiązanki kwiatów, niebo chabrów, niezabudek, fiołków i lilij, tęczy, rosy, zmierzchów wieczornych, mgieł, blasków księżyca, a na wstędze położyć napis: „Psyche.“ Tłomacząc tę piankę idealistyczną na język rzeczowy, było to pierwsze przebudzenie nieświadomego siebie popędu, uczucia pełnego zdrowia i nieskalanej wyobraźni względem skromnej i naiwnej pensyonarki. Była więc to „miłość idealna.“ Po barwy do jej odtworzenia poeta nie chodził daleko, miał tuż pod ręką starą romantyczno-religijną paletę wieszczów narodowych, pełną gotowych metafor i porównań utartych i wzywał ją do pomocy swej wyobraźni. Psyche swoją spotkał „w bławatkowy powodzi,“ „gdy łany stały w blaskach słońca ciche,“ a ona szła „tak lekko, jak duch kiedy chodzi,“ powiewając fałdami białej sukienki. Włosy, lśniące nad jej czołem, wydały się poecie koroną „z blasków złota,“ gdy nań spojrzała, spojrzeniem tem dała mu „wiatyk“ miłości „na drogę żywotu.“ „Czysta jak lilia — biały anioł kwiatów,“ stała przed nim i uśmiechała się, cicha, zarumieniona. Ust bał się otworzyć, jak przed świętością. Oto jakie dźwięki eolskie, i dziwnie barwą pokrewne Słowackiemu, odzywają się na lirze poety pod natłokiem odległych wspomnień:

O, Psyche moja, w cichym białym domu
Wyrosłaś czysta, pod tą strzechą złotą,
Pod którą kwitną serca pełne sromu,
Do której lecą gołębie z tęsknotą
I nakrywają skrzydły ją białemi,
By nie pokalał jej brudny pył ziemi.

Po tej apoteozie dziewictwa, poeta wyznaje, iż miłość ich:

Do dusz spłynęła niby anioł Boży,
Na gwiazd promyku, w jasnem świetle zorzy.

„Wietrzyk wiosenny,“ „piosnka słowika,“ radosne szelesty pól — podszepnęły im ją i „niebo w piersiach“ *zapaliły* (!). Gdy wyznawali ją sobie w cieniach nocy, jedynymi powiernikami ich były: Bóg „utajony śród pomroku“ i biała lilia. Trzeba jednak przyznać poecie, że lilia zbytecznym była świadkiem, jeśli nie „sytuacyi“ erotycznej, to przynajmniej pragnień jego nawskroś zmysłowych, które mu nie pozwoliły (w „Wyznaniu“) utrzymać się w karbach miłości idealnej, godnej Psychy, bo oto jakie namiętne słowa ta skromna istota musi słyszeć od kochanka:

Ono (t. j. serce jej) nęci, ono woła
Pod te drzewa, *na te zioła*,
Więc za głosem serca idź
W tajemnicze państwo cieni...

Nadszedł czas rozstania. Poeta żegnał Psyche, patrząc na nią i słońce poprzez łzy, a głos jego „cichy“ płynął przez *mgły* i *światła*, ponad wonne kielichy kwiatów *sennych*. Urocze jest to zamykanie słońca, mgieł i snu kwiatów w jednej chwilce.

Drugi okres miłości poety nie jest tak świetlany, pełen woni idealnej, tęcz i mgieł. Miejsce skromnej pensyonarki zajęły lwice, kobiety-demony: „Weronika,“ „Aspazya.“ Ale i sam poeta znacznie się zmienił, utracił idealną świeżość uczuć, stał się bardziej zmysłowym. Szczupłe ramki sprawozdawcze nie pozwalają mi śledzić wszystkich faz tej drugiej miłości poety. Mogę czytelnika zapewnić, że w tej drugiej wiązance erotyk p. W. znajdzie całą znaną gamę uczuć Gustawa Mickiewiczowskiego z domieszką, rzecz szczególna, takich, które zwykły się rodzić w piersiach ludzi skrępowanych obowiązkami... To też pyta swą nową kochankę śniadolicą głosem tysiąca poprzedników: kim ona jest? aniołem czy demonem, który go naprzemian odpycha, to znów rozkosze obiecuje oczyma? Jednak miewał poeta z „Weroniką“ i szczęśliwe chwile, musiała mu obietnic ocznych często dotrzymywać, skoro w „Sielance“ odważa się szczere i rubaszne Maćkowe: „hej, kobieto, pójdźwa w żyto!“ ubierać w muślinowe obsłonki poezyi... To przecież nie przeszkodziło poecie doczekać się zdrady i opuszczenia. Z sercem pełnem żalu z tego powodu grozi niewiernej:

Wspomniesz mnie jeszcze, gdy wiosna przewieje,
Gdy wszystkie gwiazdy twej młodości zgasną,
Kiedy cię wszystkie opuszczą nadzieje
I Bóg od ciebie odwróci twarz jasną!..

Żal zwolna miesza się z tęsknotą za śmiercią i obawą o los duszy (nie chciałbym posądzać p. W. o teologiczną formę tego uczucia, ale muszę) i razem przelewają się w „Prośbę o łzę.“ Po co poecie ta kropla płynu? Ma nadzieję, że gdyby ona z jej (Weroniki) oka na jego

grób wyciekła,
Może go (mnie) zbawić lub wtrącić do *piekła*.

Łzę tę, jako uronioną z oczu zimnych, duch poety na „skrzydle tęczowem“ zaniesie i pokaże Bogu, co zapewni jemu zbawienie w niebie. Wiersz p. W., z wyjątkiem drobnych usterków w kilku miejscach, nietylko jest gładki, ale najczęściej melodyjny. Mowa polska nim powiązana dosięga chwilami zwięzłości i wdzięku prawie Mickiewiczowskiego, słodyczy i śpiewności—prawie Bohdana Zaleskiego. Wielka szkoda, że każdą zgłoskę jej poświęcił poeta Erosowi, który tak mu zaatakował wyższe ośrodki mózgowe, że na oryginalne sposoby wyrażenia nie było miejsca; tęcze, lilie, anioły, niebo, piekło itp., jak wyrazy starej modlitwy w chwilach zupełnego upadku sił duchowych, ciągle wracają na usta poecie. A jednak autor *Hanki* powinienby tego unikać!

M. Rodoć: *Satyry*. III. Warszawa, 1890.

Od Erosa uciekam do Ironii, serdecznej przyjaciółki p. Rodocia. Ten mały zbiorek satyr nie zawiera w sobie ani jednej, któraby tryskała szatańskim śmiechem na widok największych z nicości dzisiejszego świata, sięgała głęboko w życie, wybuchała „świętym“ gniewem wobec masek obłudy, kryjących istotę dzisiejszych stosunków ludzkich. I silnych wzruszeń i dotkliwej chłosty słownej unika p. R. Bardzo słusznie — nie podołałby zadaniu. Zresztą gdyby chciał wskazywać, *wo ist der Hund begraben*—to jest przyczyesi społeczne — uczułby może zbyt prędko, że wargi dane są człowiekowi nie po to, żeby się poruszały, lecz żeby powoli zrastały w milczeniu i przeszły w stan organów szczątkowych... To też satyryk poszedł torem *Muchy* i *Kolców*, upodobał sobie ich styl, mało co mający wspólnego z artyzmem, zaopatrzył się w mniejszego kalibru szpicrózgę i usiłuje nią w ten sposób operować, żeby wszystkim się zdawało, że ma trzepaczkę w ręku do otrząsania kurzu z szat obyczajowości naszej, bez szwanku nietylko mięsa społecznego (instytucyj), lecz nawet skóry. Skórze czasem się dostaje, ale szczutek niewinny. Ironia zlekka wyszczerza zęby w satyrach p. R., zgodnie z receptą wypisów szkolnych: „satyra w szczególności nikogo nie łaje, wskazuje przywary, gani obyczaje.“ Na wyróżnienie zasługują następujące utwory: „Komu źle na świecie,“ „Światek nasz jest bardzo miły,“ „Pojedynek amerykański,“ „Jam jest

ten oto, który jest,“ „Kiedym raz pełen zamiaru“ (w niej mięso społeczne zawadzone), „Żart literacki.“ Wszystkie one, z małym wyjątkiem, wyszydzają drobne rysy fizyognomii społecznej, niektóre nie pozostały nawet bez wpływu, niestety, niepożądanego przez poetę. „Żart literacki,“ skierowany przeciwko grom, po wypowiedzeniu go w „Lwowskiem Kole Artystyczno-Literackiem“ w 1885 r. przyczynił się do zaprowadzenia w tej instytucyi gry w karty...

Z. D.: *Sokole loty*. Kraków, 1890.

P. D., dosiadłszy pegaza, pragnie nas przekonać, że ponad Parnasem umie szybować „lotem sokolim.“ Chciałbym dla pociechy jego uledz choć na chwilę tej suggestyi myślowej z odległości, ale muszę być zapewne złem medyum, czy może poeta za mało posiada siły hypnotycznej, bo ciągle stoi przed mojemi oczyma rzeczywistość: widzę lot lelka, który, korzystając z mroków nocy, opuścił dziupło przeszłości i żeruje śród drobnych owadów. Oddać jednak trzeba sprawiedliwość poecie, że jakkolwiek uparcie wierzy w swe sokole zdolności, umie wszakże być skromnym, gdy wyznaje, iż

Smutno*by było*, *żeby* (może gdyby?) tytani
Nie mieli braci mniejszego lotu.

Wysokie stanowisko p. D. wyznacza poetom. On wie, że świat jest złożony z bezduszcznych karłów, że rządzić nim danem jest poecie,

Że wzniosłe czyny *tu by* zamarły,
Żeby (!) poetów nie było całkiem.

Nie, p. D. nie zasiądzie, niestety, na tym tronie władzy, chociażby aż do potów krwawych uderzał w struny swej lutni, nietylko „tak grubę jak pstrągi,“ lecz w grubsze jeszcze, niż kiszki mastodonta. Wyrok ten, sądzę, nie zaścignie poety znienacka, bo sam wyznaje gdzieindziej, iż niema wprawdzie sił Orfeusza, jednakże połączywszy ślubem częstochowskim „godząc“ z „grodząc,“ oraz inne stadła podobne, spodziewa się być taranem, wstrząsającym mur chińskiej ciemnoty. Bojowników tego rodzaju nie mamy do zbytku i radzibyśmy powitać jednego z nich w p. D., ale pod jednym warunkiem: albo niech ciśnie w kąt swoją lutnię, albo naciągnie lepiej jej struny, niektóre z nich, np. pobożne lub cudze, niech nawet zupełnie porwie, jeśli ma je czem własnem zastąpić. W przeciwnym razie gotów ktoś odnieść do niego to, co znajdzie w jego wierszyku „Rozum w pętach“:

Napróżno się bijesz, pyszałku strącony,
Napróżno szybujesz wszerz, wzdłuż rozgniewany
I skrzydła twe ranisz o klatki twej pręty!

Chyba, że dwie śrubki: głębokie przywiązanie do wsi (nie mam na myśli wdzięków przyrody) i wszystkiego, co jej jest, jak też gorąca wiara w rolę dziejową chłopa u nas, w rodzaju tej, co tryska z następującej strofki:

Ziemia ziemią zostanie,
A chłop przy zagrodzie,
Bo nie oddasz nas, Panie,
Szwabstwu, co tak bodzie,

otóż chyba te dwie śrubki zabłąkane wraz z kilku udatnymi wierszykami śród masy źle powiązanych i niewyrobionych słów, opatrzone przedmową któregokolwiek z nestorów naszego piśmiennictwa, wydźwigną p. D. na poziom przedwczesnej i niezasłużonej sławy...

Zyg. Pt.

WYSTAWA OBRAZÓW J. CHEŁMOŃSKIEGO.

Chełmoński jest — w najściślejszem tego słowa znaczeniu — malarzem, to znaczy: treść obrazu nie przedstawia dla niego żadnej wartości. Wszystko mu jedno, co na płótno przenosi: pierwszego lepszego chłopa, zająca, konia, psa, zapadłą chałupę, kępę ziół, kawał pola. Zdaje się nawet, jak gdyby umyślnie unikał widoków niezwykłych swą naturą lub pięknością a czuł szczególne upodobanie do najpospolitszych. Na tle zimy z ubogiego dworku wychodzi jegomość, za nim służący, obok stoi chłop z odkrytą głową a przed ganek zajeżdżają sanki. Wiecie jaki tytuł obrazu? „Sanki.“ Gdzieindziej znowu pobożna gromadka ludu pochyla się, klęcząc przed ołtarzem, przy którym ksiądz stoi z monstracyą, a pochyla się tak, że widz spostrzega tylko szeregi ciał zgiętych i tyłami ku niemu zwróconych; to się nazywa: „w kościele.“ Gdzieindziej nad szarym płatem pola lecą tuż przy ziemi dwa ciemne ptaki. Gdzieindziej leży dziewczyna i łapie włókna babiego lata. Gdzieindziej zielonkawy, pusty, z zamkniętemi okienicami dom małego miasteczka, który rzuca widzowi nierozwiązalną zagadkę: czem on zwrócił na siebie uwagę artysty? I tak dalej.

Chełmońskiego zajmuje wyłącznie natura — jakakolwiek — i rozmaite jej momenty. A więc maluje on pory roku i pory dnia: zimę, wiosnę, lato, jesień, ranek, południe, wieczór, krajobrazy w słońcu, bez słońca, przed deszczem itp. Co zaś w tem słońcu lub bez słońca się przedstawia — to go wcale nie obchodzi. Woli on nawet, ażeby to coś było bardzo ubogiem, pospolitem, niż wspaniałem i niezwykłem: niezgrabny i chudy koń, stara chałupa, proste sanki, pierwotny wóz, a z ludzi — chłop. I ten chłop wtedy go pociąga, gdy ma bezmyślną twarz, źle dopasowaną i podartą sukmanę, duże buty, słowem, nosi na sobie jak najwięcej śladów ubóstwa i barbarzyństwa. Ta pierwotna kultura tak dalece rozpościera się na obrazach Chełmońskiego, że gdy śród nich spotykamy damę siedzącą w pokoju, z niedowierzaniem sprawdzamy, czy on ją malował — iczytamy na kartce: „wieczór.“ Rozumiemy: artyście nie chodziło o damę, ale o mroki. Poniekąd więc słusznie rzec można, że Chełmoński ma upodobanie do uwstecznień lub pierwocin cywilizacyi, do surowych objawów życia a nawet do jego brzydoty. Prawię na pewno przypuszczać można, że nigdy nie namalował pięknej twarzy i że do tego poprostu nie byłby zdolny. W żyłach swoich niema ani kropli krwi klasycznego greka.

Rozumie się, wobec takich przedmiotów o najlżejszem potrąceniu strun uczuciowych widza w galeryi utworów Chełmońskiego nie może być mowy. Co najwyżej poruszą się one lekko przed tym lub innym krajobrazem. Zresztą odzywa się tylko podziw dla techniki, naturalności i prawdy. Technika ta jest często pospieszną, niedoskonałą, zawsze w swej wyrazistości rubaszną, ale rzeczywiście wysoce oryginalną; prawda zaś posiada niepodejrzane świadectwo rzeczywistości. Chełmoński nigdy pędzlem nie skłamał, na jego paletę kładzie farby istotnie cyfe. On nie złagodzi czerwoności nog wieśniaczki o najlżejszy odcień, choćby ją przez to piękną uczynił, nie opuści na kapocie chłopa ani jednej łaty dla względów estetycznych. Maluje klisze fotograficzne— barwami.

Wystawione obecnie razem jego prace są nam dobrze znane. Zwłaszcza sceny myśliwskie (zimowe) zyskały sobie zasłużoną sławę, pod którą pogrzęblibyśmy jeszcze „Wieczór — Żaby.“ Nowością a zarazem koroną galeryi i całej działalności artysty jest nowy obraz „Do kościoła,“ który na wystawie paryskiej otrzymał najwyższą nagrodę. Drogą między łanami żyta i pszenicy, odtworzonymi przepysznie, idą grupy wieśniaków, z których trzy kobiety świątecznie przybrane wysunęły się na plan pierwszy. Realizm tych postaci nie pozostawia nic do życzenia: są to rzeczywiście grube, zdrowe, proste wieśniaczki, które zdjęły trzewiki, podniosły spódnice i śpieszą do kościoła. Letnie słońce oblało falami światła niwy zbóż, pomiędzy któremi obok maków patrzą się barwiste stroje drużyny. Obraz ten jest własnością p. Ludwika Temlera, posiadacza cennej galeryi — a więc na szczęście pozostaje w kraju.

Nie wszystkie płótna Chełmońskiego zdołano zebrać, a wiele z nich powędrowało w świat daleki. I te wszakże dają dokładne pojęcie o właściwościach twórczości tego znakomitego artysty.

Wo.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dalszy ciąg nieskończonego baletu. — Sprawozdanie Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych. — Wymowa cyfr. — Najruchliwszy dział tej instytucyi. — Opodatkowanie się jej głów na rzecz mózgu. — Gdzie był pół-członek a gdzie cały. — Odezwa w imieniu kolonistów letnich. — Na łonie matki. — Wdzięczność i ofiara. — Głupstwo rozum zjadło.— Życzliwość reżyseryi. — Śmiertelność w prasie. — Przepowiednia.

Zabawa odbyła się, zabawa odbędzie się, zabawę urządzić trzeba—dla złagodzenia ubóstwa, nędzy, chorób uleczalnych i nieuleczalnych, a gdy tego wszystkiego zabraknie—bodaj dla okazania kosztownych strojów. Czasami zdaje się, że kieszeniom zbraknie środków, werwie — siły, a wyobraźni — pomysłów; gdzie tam! Zabawa rodzi nową zabawę, z tajemniczych źródeł płyną pieniądze, mnożą się koncepty, nazwy, ponęty i wieczny, nigdy nieustający karnawał wre. Służą mu mrozy i krótkie dnie zimy, służą skwary i krótkie noce lata, służą szarugi jesieni i rozkoszne tchnienia wiosny. Życie nasze wygląda jak jedno wielkie przedstawienie baletowe, w którem wszystkie uczucia i myśli, wszystkie wypadki i położenia wyrażane są zapomocą mimiki i tańca, ruchu nóg i rąk, żywych obrazów i przebrania.

Zanadto jestem smutny i to nie własnym jedynie smutkiem, ażebym umiał być nawet obojętnym piewcą tych zabaw, jakie Warszawa ciągle nanitce swego życia przesuwa, niby paciorki w różańcu wesela. Zamiast więc być dla was, czytelnicy, Wirgilim w tej „nieboskiej komedyi“ śmiechu, przejrzę wraz z wami w tej wędrówce przez rauty „śród fijołków“ i tańców około kotła z „dyabelskim bigosem“ — „Sprawozdanie Towarzystwa wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy.“ Instytucya ta posiada kilka wydziałów, w żadnym z nich jednak nie było takiego ruchu i rozwoju, jak w sekcyi „zabaw.“ Zadaniem jej jest wzajemna pomoc, kształcenie się i rozrywka. Otóż w ciągu pięcioletniego okresu wydatki na zapomogi wzrosły od 336 do 1,130 rs., pożyczki od 231 do 1,591 rs., ale w roku minionym prawie czwarta część dłużników nie zwróciła należności. Natomiast wydatki na zabawy, które w r. 1886 wynosiły 999 rs., w przeszłym podniosły się do 1,654 rs., podczas gdy biblioteka urosła tylko o 449 rs. przez lat pięć; w 1887/8 słuchało kursu buchhalteryi 15 członków, w 1889 — 12! Rozpatrzmyową bibliotekę oraz czytelnię w zestawieniu z innemi pozycyami. Pierwsza posiada dziwny skład: tak np. dzieł teologicznych (!) za 16 rs., przyrodniczych za 9 k. 75, a utworów beletrystycznych za 229 k. 15. W ciągu roku przeszłego zakupiono nowych książek za rs. 244 k. 39 — podczas gdy druki i materyały piśmienne kosztowały rs. 450 kop. 89. Prenumerowano — proszę zauważyć: oprócz *Gazety handlowej*, trzech *Kuryerów*, cztery tygodniki ogólnej treści, dwa pisma humorystyczne

i z zagranicznych... *Fliegende Blätter* — ani jednego więc wydawnictwa naukowego. Należy przytem wiedzieć, że Towarzystwo liczy 1,068 członków, podatek tedy od głowy na bibliotekę wypada rocznie k. 22, na czytelnię — 9, a na zabawy około rs. 1 k. 50. A mimo to sprawozdawca ostatniego działu narzeka. Obliczył on, że w zeszłorocznych zabawach i zebraniach przyjęło udział „zaledwie nieco więcej, niż pół członka.“ Ale nie sądzcie, ażeby ta „połowa członka“ rozkładała się równomiernie na wszystkie rodzaje rozrywek. „Dotychczas— powiada Sprawozdanie — zabawy tańczące najwięcej miały powodzenia, więcej, niż wieczorki muzykalne.“ Przyczyną tego ma być szczupłość sali, za ciasnej do słuchania muzyki, ale dość obszernej do tańcowania. Rozmyślając nad owym „pół-członkiem,“ sprawozdawca chce być politykiem realnym, uwzględniającym naturę człowieka; więc nie żąda rozszerzenia rozrywek poważnych kosztem baletniczych, lecz usprawiedliwia konieczność uwagą filozoficzną: „kto lekceważy słabostki ludzkie, ten bywa przez nie pokonany; toć przecie najlepszym dowodem prawdziwości tego jest przysłowie: głupstwo rozum zjadło.“ Towarzystwo subjektów może jednak pocieszyć się tą myślą, że nietylko w jego łonie odbywa się taka ofiara. Głupstwo zjada nieraz rozum w społeczeństwie, dlaczegożby nie miało tego uczynić w jednem stowarzyszeniu? Trudno, skoro inaczej być nie może, niech pół-członka czyta i słucha muzyki, a cały członek tańcuje lub wreszcie czyta, ale... *Fliegende Blätter*.

Dr. Fritsche odzywa się znowu do miłosierdzia publicznego w imieniu ubogich dzieci, pragnących i potrzebujących wyjechać na wieś dla odżywienia nędznego ciała, dla odświeżenia płuc, zatrutych kurzem i wyziewami miejskimi. Ponieważ sam jestem kandydatem na letniego kolonistę i również korzystam z łaskawości ludzkiej w tym względzie, więc umiem ocenić wagę takiego dobrodziejstwa. Jeżeli zaś ja, mający do oddychania więcej powietrza, niż synowie stróżów i robotników, duszeni w ciasnych izdebkach, wolałbym nieraz być wiejskim oraczem, niż redaktorem wszystkich pism w Warszawie, aby tylko popatrzeć na drzewa i kwiaty, nassać ustami ich woni, wypieścić oko ich barwami, to cóż dopiero biedacy, żyjący w ciemnych i wilgotnych norach, w murowanych pudłach z cuchnącym brukiem, szaremi ścianami i skrawkiem zapylonego nieba. Człowiek nie oblicza i zresztą obliczyć nie może, ile winien zwyrodnienia miastu, a ile zdrowia wsi. Życie odrywa nas od natury, jak dzieci od matki, i rzuca w niedolę pasierbów u złej macochy, u t. z. cywilizacyi, która często bywa szachrajską i nielitościwą przekupką handlującą interesami egoizmu. Najzacieklejsza walka o byt toczy się w miastach, które są zarazem kuźniami wszelkich pogwałceń przyrody. Na polach, łąkach, w lasach, drzewa tak owocują, zioła tak kwitną, ptaki tak śpiewają, jak chcą, jak ich nauczyła natura; w miastach sośnie każą rodzić gruszki, róży wydawać woń kapusty, szczygłowi naśladować kruka — tresura i tresura, mniej lub więcej głupia, mniej lub więcej podła. Ci dla rachuby udają pobożność, tamci — służalstwo, inni — ascetyzm, inni — prawność, śpiewają, wyją, mówią, dowodzą, padają na kolana lub włażą na szczudła w obłudzie. Dopiero gdy z tem kłamstwem staną wobec natury, która go nie zna, gdy przypatrzą się, jak szczerze krzew kwitnie, dąb gałęzie rozwija, ptak świergocze, uczują się grzesznikami przed matką. Małe, biedne, zwiędłe i chorobami zniszczone chłopię lub dziewczę nie zdaje sobie z tego sprawy świadomie, ale ono ulega bezwiednemu pociągowi do tej wszechmatki, instynktownie na jej łonie ratuje swe ciało i duszę. Wywiezione z suteren i rynsztoków na świeże powietrze, między drzewa i zboża, pod modre niebo i słońce, czuje się nietylko zdrowszem, ale uszlachetnionem. A więc kto może, niech wyzwoli na kilka tygodni biednych więźniów miasta.

Gdyby wraz z kieszenią człowieka rozrastało się jego serce, ileż dobrego spoczywałoby w jego dłoni i jak często otwierałaby się ona hojnością! Niestety, miłosierdzie jest tak wielkim skąpcem, że całujemy jego rękę nawet za okruszyny, które przez szpary między jej palcami dla biedy spadną. Historya każdego społeczeństwa mniej liczy filantropów, niż znakomitych uczonych, artystów i wojowników. Niedawno umarła jedna z czczonych możnowładczyń, której trumnę obrzucono wieńcami wdzięczności. Istotnie budowała kościoły, wzniosła wspaniałą kaplicę grobową dla swej rodziny, wspierała biednych, ale zostawiła spadkobiercom kilkanaście milionów rubli. Inna słynie ze swej ofiarności, ale też ma — jak odkrył przypadek — w swej kasie kilkadziesiąt milionów. Obie niewątpliwie zrobiły wiele dobrego, wszystkie wszakże ich ofiary razem zsumowane stanowią nikły procencik od posiadanych bogactw. Zaiste, łzy wdzięczności są zaskórną wodą życia: niepotrzeba zbyt głęboko kopać go zasługami, ażeby trysnęły obficie.

„Głupstwo rozum zjadło“ — przypomina sprawozdawca Towarzystwa subjektów. Tegoż samego zdania są dwaj autorowie świeżo wystawionej „Komedyi do spółki,“ którzy twierdzą, że mogą istnieć u nas głuptasy, którzy nie znają *Ślubów panieńskich* Fredry i godzą się podyktowane im przez figlarza przyjąć za utwór własny; ale również tego samego zdania są krytycy. Różnica obu poglądów polega tylko na tem, że według autorów „głupstwo rozum zjadło“ w życiu, a według krytyków— w sztuce. Bądź co bądź, teatr znowu przedstawił, jak „głupstwo rozum zjadło.“ Ale swojskie!—jak by powiedział bezimienny obrońca reżyseryi, który tym wyrazem, niby maczugą, usiłuje rozbić poprzednie moje o niej uwagi. Czyż ja jej wyrzucałem „swojskowstręt“? Nie potrzebuję wcale być zmuszanym do przyznania, iż reżyserya nasza taką objawia usłużność niektórym z dramaturgów naszych, że gdy oni zaledwie napiszą: „Akt I, scena 1, Emilia sama w białej sukni — wzdycha,“ kandydatka na Emilię zaczyna wzdychać a jej magazynierka — robi białą suknię. Kiedyś rzekł do mnie pewien autor sceniczny: „piszę rolę dla Tatarkiewicza — rzewną.“ Tegoż dnia spotkałem na ulicy p. Tatarkiewicza: był dziwnie rzewny. Czy dosyć ci, szanowny korespondencie, tych dowodów, że bynajmniej nie twierdzę, jakoby między reżyseryą teatralną a sztuką swojską nie istniało „czucie“? Och, istnieje, i jeszcze jakie!

Ponieważ przestało to być nawet publiczną tajemnicą, że *Kłosy* i *Tygodnik powszechny* od 1 lipca zamierają, więc i mnie wolno ją zdradzić. Właściwie do grobu schodzą tylko *Kłosy*, bo *Tygodnik* będzie Feniksem i odrodzi się z popiołów innym. Podobno nabywca chce zdjąć z niego strojną szatę, w którą go p. Gomulicki przyodział i włożyć mu kapotkę skromniejszą. Zresztą wkrótce zapewne nowa redakcya nas objaśni o swych zamiarach. O obu konających organach pomówię szczegółowo wtedy, gdy sami wydawcy ich zgon potwierdzą. Bo nuż one albo jeden z nich wypłata nam takiego figla, jak autorka *Chaty wuja Toma* lub dr. Peters, którzy przeżyli swoje nekrologi? Zauważę tylko dziś, że chociażby *Tygodnik powszechny* i *Kłosy* same przyczyniły się do swego upadku, niewątpliwie poderwała im również grunt ta „oszczędność“ społeczeństwa, która przedewszystkiem zesznurowała jego kieszeń dla prasy i literatury wogóle. Bodajbym był złym prorokiem, ale zdaje mi się, że jeszcze kiedyś bardzo żałować będziemy tej „oszczędności,“ którą mniej odczuły magazyny sukien, sklepy z winem i półświatek, niż piśmiennictwo. Dziś mniemamy, że narażaliśmy na straty tylko wydawców, może kiedyś zrozumiemy, że zubożyliśmy ogół. Zrozumiemy zaś wtedy, gdy jego oporność i jego siły żywotne zaczną słabnąć.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Bractwo trzeźwości. — Epopeja chłopska. — Nowe zabiegi o dobro drobnego przemysłu. — Zamiar regulacyi popytu na pracę najmitów wiejskich. — Zgon „złotego banku.“

Idee, formułowane za granicą przez Le Playa, Hitzego i Vogelsanga, zyskują nietylko zwolenników w Rosyi, lecz, co donioślejsza, dla jej życia społeczno-gospodarczego, coraz więcej zaczynają się oblekać w ciało. Tak np. niedawno idea trzeźwości, długo pielęgnowana w sercach miłośników ludu, przedzierzgnęła się w zatwierdzone przez rząd petersburskie *Towarzystwo trzeźwości*. Instytucya ta była marzeniem p. Pobiedonoscewa, który jako stały współpracownik *La Réforme sociale* Le Playa i szczery jego współwyznawca w zakresie „pokoju społecznego,“ zyskał głębokie uznanie za jej plan od francuskiego wodza „armii jednania chrześciańskiego,“ przeciwstawiającej się zastępom walki klasowej. W jednym z bliższych fejletonów pomówimy o stosunku tych dwóch mężów do siebie obszerniej. Teraz jeszcze kilka słów ich wytworowi petersburskiemu. Zadaniem bractwa trzeźwości jest przeciwdziałanie pijaństwu za pomocą: lecznicy dla pijaków, jadłodajni, herbaciarni, czytelni, rozpowszechniania książek treści moralnej, pogadanek, zabaw bez trunków upajających i kółek wstrzemięźliwości. Przyznajmy, że samo rusztowanie tej działalności, mianowicie strona organizacyjna, np. kółka wstrzemięźliwości, może mieć najdonioślejsze znaczenie społeczne dla Rosyi.

Trudno uwierzyć w cudotwórczą własność słowa moralizatorskiego, które ma być w postaci książek i pogadanek przeważnym środkiem oddziaływania. Właściwie mówiąc, Towarzystwo trzeźwości zamierza toczyć walkę z dwoma żywiołami: z organicznym popędem człowieka północnego, uwarunkowanym, być może, własnościami klimatu i z jedną z najpoważniejszych pozycyj dochodów państwowych. Zaiste, dziwne położenie: przez ascetyzm do wyzwolenia od wpływów klimatu i podatku pośredniego! Zadanie nad siłę, jeśli pierwiastki sekciarstwa religijnego nie zostaną zawezwane do pomocy. Inaczej najistotniejszą i najpożyteczniejszą stroną bractw wstrzemięźliwości pozostaną lecznice dla alkoholików. W ten sposób cała działalność, zakrojona na zbyt szeroką skalę, sprowadzoną zostanie do właściwej miary, do opieki nad inwalidami warunków społeczno - klimatycznych. Wszak wszelkie wysiłki filantropijne zawsze polegają tylko albo na opatrywaniu ran, albo przykładaniu plastrów gojących — na uprzątaniu drzazg z wielkiej nielitościwej drwalni dzisiejszego gmachu społecznego... W każdym razie śledzenie rozwoju działalności towarzystw przeciwwyskokowych ważnem będzie i dla naszych stosunków. Ciekawi jesteśmy, czy ta nowa fala zatoczy swoje kręgi około nas i czy nie wskrzesi pogrzebanych gospód chrześciańskich?

Znowu zanotować musimy epizod smutny z działalności Banku włościańskiego w kraju północno-zachodnim. Po wypadku włościan porchowskich *) przyszła kolej na chłopów powiatu newelskiego, gub. witebskiej. Oto co ich spotkało według doniesienia *Ruskich Wiedomosti*, na podstawie korespondencyi *Wiest. Smoleńskiego*. O wiorst

*) Patrz *Prawda* nr. 16 „Zdala.“

20 od Newla, w gminach toporskiej i jemienieckiej znajduje się wielkie dominium powittgensteinowskie księżnej Hohenlohe, Topory, na mocy prawa o cudzoziemcach z 28 marca 1877 r. podległe sprzedaży. Majątek ten (ziemia) rozpada się na folwarki zostające w ręku dzierżawców aż do 1-go kwietnia roku przyszłego, las zaś na zasadzie kontraktu, mającego moc w ciągu lat 10, sprzedany jest na wyrąb. Szacunek posiadłości wynosi 350,000 rs. Włościanie przeszło stu wsi gmin toporskiej i jemienieckiej ostrzyli na nią zęby jeszcze za życia ks. Wittgensteina, marząc o cząstkowem jej kupnie. Teraz zaś wobec upływającego terminu dzierżawców i wygodnych dla siebie warunków kontraktu eksploatacyi kupieckiej lasu, korzystając z nakazanej księżnie sprzedaży przymusowej, zdecydowali się na nabycie całego majątku przy pomocy Banku włościańskiego. W stosunku do 350,000 rs. wartości, uzyskali pożyczkę w sumie 315,000 rs., resztę zaś, 35,000 rs., zgodzili się z własnej kieszeni dopłacić. Pomimo prawdziwie bohaterskich wysiłków: sprzedaży krów, zboża, chat, wydzierżawienia kułakom swoich działów, pobrania zgóry zadatków na odrobek, ba! nawet pozbycia się ostatniego ubrania, do oznaczonego terminu zdołali zebrać tylko 27,000 rs. Kwota taka mogłaby służyć za poważną rękojmię dalszej wypłacalności nowonabywców, ale pełnomocnik księżnej był nieubłaganym. Biedakom nie pozostało nic innego, tylko wrócić do domu i znowu zbierać brakujące pieniądze. Tymczasem, co za groza sytuacyi! Znalazła się, jak zwykle około upadających wielkich dóbr ziemskich, gromada kruków: lichwiarzy, kułaków i ziemian sąsiednich. Ci ze swojej strony puścili w grę wszystkie środki rabusiowskie, żeby włościanom uniemożliwić kupno, a to drogą odcenienia majątku. Według zapewnień cytowanego dziennika, eksploatator lasów wszedł już w umowę z pełnomocnikiem Toporów o poczynienie takich zmian w kontrakcie, któreby wartość posiadłości zniżyły o sto tysięcy. Porozprzedawano najlepsze i najużyteczniejsze dla włościan folwarki. Naturalnie tranzakcya wobec tego ma coraz mniej szans przyjścia do skutku, a jeśli nawet będzie dokonaną, to o całą różnicę rabunku popełnionego przez rybaków mętnych wód, a zatem z wielką krzywdą nabywców.

Jeśli troska państwa o byt drobnego przemysłu, czyli *kustarów* w Rosyi coraz staje się głębszą, nie drzemie też interes wielkokupiecki i usiluje przy rozpalanych drobnych ogniskach produkcyi swoją upiec pieczeń. *Dień* zawiadamia, że w Petersburgu, w kółku osób mających stosunki ze światem kupieckim, mniej więcej inteligentnych, powstała myśl założenia centralnego składu wyrobów drobnoprzemysłowych. Obliczono, iż kapitał niezbędny na ten cel, w rozmiarach około 100,000 rs., zrodzić się winien z udziałów. Przedsiębiorstwo ma się zupełnie wytrzebić z żywiołów filantropijnych, a oprócz na czysto kupieckich zasadach. Towarzystwo skupywać ma wyroby kustarów wszelkiego rodzaju, w różnych miejscowościach Rosyi, wypłacać wytwórcom gotówką i sprzedawać te towary od siebie ze składu. Skład petersburski ma się zwać centralnym w przewidywaniu rozwoju przedsiębiorstwa, a zatem powstawania filij po miastach pomniejszych. Projektodawcy spodziewają się osiągnąć następujące cele: przyciągnąć do stolicy wiele różnorodnych a małoznacznych wyrobów drobnego przemysłu chłopskiego, przez co jakością i taniością swoją mógłby on z czasem współzawodniczyć z rzemieślnikami stołecznymi, oraz nawiązać między spożywcami a kustarami stały i trwały stosunek i tą drogą zmusić tych ostatnich do śledzenia popytu publiczności i stosownie do jej wymagań urozmaicać wyroby. Właściwie cel da się prościej wyrazić: wciągnąć „kustarów" w szersze koło wymienione rynków wewnętrznych, pobudzić tym sposobem drobny przemysł chłopski od szybszego zróżnicowania się od rolnictwa, a w trakcie tego, tytułem pośrednictwa, zapewnić sobie premium za tyle ofiar i poświęceń. Widząc ten zamiar wdzierstwa wielkiego kapitału w sferę drobnego, *Dień* spieszy zagrodzić drogę swoim projektem spółek (arteli) składowych i wytwórczych. Istotnie oba te środki mogą dążyć ku jednemu celowi — ku zapewnieniu kustarom zbytu, którego brak najbardziej powoduje w kraju zastój tego rodzaju produkcyi, tylko że drugi z nich, wykrojony z programatów Hitzowsko - Le Playowskich, na razie pożądańszym byłby dla drobnego przemysłu, szczególnie w połączeniu z zamierzonym przez rząd bankiem dla niego i chroniłby skuteczniej od wyzysku kupieckiego. Ale bardzo być może, iż przy coraz większem wzmaganiu się w ostatnich czasach ducha przedsiębierczości w kupcach i przemysłowcach ruskich, plan pierwszy prędzej zostanie wcielony w czyn.

Stosunki ekonomiczne Rosyi wysunęły w ostatnich czasach na porządek dzienny sprawę dysproporcyi popytu do podaży pomiędzy rolnikami-przedsiębiorcami a najmitami wiejskimi. Z jednej strony istnieje wielka uprawa roli, potrzebująca dużo rąk roboczych, z drugiej minimalne gospodarstwa chłopskie, wypychające tysiące jednostek po zarobek w szeroki świat. Tymczasem skutkiem nieistnienia w Rosyi instytucyj powiadamiających o stanie rynku pracy, zdarza się często, iż dwie kategorye ludzi — chlebodawcy i robotnicy — poszukując się wzajemnie, nie znajdują się i odbiegają od siebie w wprost przeciwnych kierunkach, ogromnie na tem tracąc. Tak np. w przeszłym roku zdarzyło się, iż podczas gdy wielkie rolnictwo w pewnej części kraju z powodu braku rąk drżało o los zahukanej przez kraje zamorskie renty, nieopodal dwóch stacyj kolei Łazowo-Sewastopolskiej zgromadziło się aż 5,000 najmitów wędrownych, którzy przyszedłszy z Krymu na zarobek, nie znaleźli go tam. Usiłowano też usunąć ten chaos. Inżenier Batalin np. radził zobowiązanie stacyj dróg żelaznych do pośredniczenia w najmie robotników. Projekt ten jednak pozostał pobożnem życzeniem, bo miał na myśli tylko interes najemców. "Cesarskie towarzystwo wolnoekonomiczne," dla zbadania położenia rynku roboczego, podjęło się zebrania danych o warunkach i sposobach najmu robotników rolnych w stosunku do miejscowości, czasu, terminów itp., ale tego niedość. Według pogłosek, krążących w gazetach petersburskich, ma tam wkrótce odbyć się zjazd przedstawicieli ziemstw i dróg żelaznych w celu opracowania środków, dążących do wyrównania nieprawidłowo rozmieszczających się sił roboczych. Jeśli zjazd stanie się faktem, nastręczy się nam z czasem sposobność pomówienia jeszcze o nim, tymczasem godna jest zanotowania w tej mierze rada *Warsz. Dniewnika*. Ponieważ zapotrzebowanie robotników wiejskich jest zależnem wprost od stanu pól i łąk, to — zdaniem rzeczonego pisma — niezbędnem jest, żeby miejscowości, wysyłające najmitów, zawczasu znały w ogólnych zarysach rozmiary popytu na siłę roboczą. To zaś z łatwością dałoby się uskutecznić, gdyby zarządy ziemskie lub, gdzie ich brak, instytucye zastępcze — zechciały możliwie najczęściej dostarczać kancelaryom gminnym niezbędnych wiadomości. Ponieważ najemnicy mają zwyczaj udawać się na zarobek gromadami i w pewne określone okolice, zarządy gminne, udzielające paszportów, mogłyby bez trudności informować stacye kolejowe oraz inne zakłady o liczbie robotników, zamierzających iść na zarobek. Między popytem więc na nich a podażą łatwo mogłoby dojść do bilansu. Co się zaś tyczy tych wypadków, gdy w pewnych miejscowościach skupia się za dużo robotników, a w innych brak ich jest zupełny, zaradzić temu mogłyby raz na zawsze ogłaszane w każdej gubernii biuletyny o ruchu robotników, miejscach ich pobytu, liczbie i cenach płacy.

Innego rodzaju chaos zapanował w wielkośredniem rolnictwie ruskiem, prawdziwy *dies irae*. Sprawcą pośrednim tego stanu jest słynny Bank złoty, w swoim czasie srodze nadszarpnięty kradzieżą Juchancewa i Sp. Przyszło zemrzeć temu Towarzystwu wzajemnego kredytu ziemskiego. Cała jego zasługa polega, zdaniem *Swieta*, na tem, że w ciągu swego istnienia odłużyło nad miarę przeszło 7,000 majątków. *Swiet* zdaje się być wogóle bardzo rad z likwidacyi tej instytucyi kredytowej: „Dalsze istnienie Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego — powiada — w postaci wszechrosyjskiego parlamentu odłużonych, z jego gadaniami peryodycznemi, pod nazwą kolejnych zebrań członków, przedstawia gruby skandal naszego życia społecznego. Zniesienie tej instytucyi pożądanem jest nietylko w interesach pożyczkobiorców, lecz gwoli *porządkowi państwowemu* (?)." Bank złoty, wykazawszy swoją niemoc, na prośbę ziemian bankrutujących popartą łaską Monarszą, musi więc być usunięty z widowni, a wierzytelności jego muszą być przelane do Banku szlacheckiego. Na nadzwyczajnem zebraniu członków Banku, które miało miejsce w Petersburgu 15 i 16 kwietnia st. st. większością 336 głosów wyzionęło ducha Towarzystwo, rzucając ponure światło na stan rolnictwa, a może bardziej jeszcze na stan moralny samych rolników... Warunki postawione przez p. Wyszniegradzkiego, mianowicie 7,15% od pożyczek oraz odjęcie majątkom zdolności kredytowej z zachowaniem wzajemnej odpowiedzialności dłużników — są nad wyraz ciężkie, ale możliwa jest apelacya...

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Żółw i Achilles.

Podczas gdy koleje zagraniczne bądź wprowadziły, bądź wprowadzają t. z. opłaty strefowe, nasze, naśladując względem nich żółwia, ścigającego się z Achillesem, spłacają dług postępowi biletami sezonowymi z ustępstwem 30% od ceny normalnej. Według świeżego ogłoszenia, na drodze Nadwiślańskiej bilety te stanowią książeczki 40-kuponowe z terminem dwumiesięcznym. Ponieważ takich szczęśliwców, którzyby do rodzin na letnich mieszkaniach mogli wyjechać dziesięć razy w ciągu miesiąca (20 w obu kierunkach), jest bardzo niewiele, ponieważ większość pozwala sobie wypoczynku tylko raz na tydzień, przeto ofiara kolei Nadwiślańskiej (gdzieindziej nazywana: dobrze zrozumianym interesem) nieszerokiem zatoczy się kołem. Że też my, jeżeli już nawet zdobędziemy się na jakąś reformę w tym kierunku, musimy ją okulawić lub obdarzyć szybkością żółwią!

Zniesiona szkoła.

Do Instytutu agronomiczno-leśnego w N. Aleksandryi (Puławach) nowi kandydaci przyjmowani nie będą. *Grażdanin* objaśnia to zamknięcie przedstawieniem kuratora okręgu naukowego warszawskiego, który sądzi, że zamiast tego instytutu potrzebniejsze są średnie szkoły techniczne.

Stała kolonia letnia.

W roku bieżącym ma być założona stała kolonia letnia dla chłopców wyznania chrześciańskiego i mojżeszowego w pobliżu Błonia, w dobrach Leszno, należących do przemysłowca, p. Bersohna. Równie urządzenie kolonii, jak i utrzymanie coroczne gromadki dzieci, p. B. bierze na siebie. Dzieci chrześciańskie i starozakonne pomieszczone będą

oddzielnie, jak również i kuchnia jednych a drugich. Sala i plac zabaw będą wspólne. Kolonia mieścić się ma w blizkości lasu.

Przeciw monopolowi piekarzy.

Piekarze warszawscy w poczuciu swej wszechwładzy monopolistów bardzo łatwo omijają lub zupełnie zapominają o przepisach, warujących dobro spożywców. Tak stało się z dawniej wydanymi przepisami oznaczania liczbami cen oraz wagi na pieczywie. P. ober-policmajster miasta Warszawy aż musiał to przypomnieć w rozkazie dziennym. Polecono więc komisarzom cyrkułowym „zobowiązać" wszystkich piekarzy, żeby na każdym bochenku, bez względu na gatunek i kształt chleba, oprócz cechy piekarni, odtąd oznaczana była cena. Niezależnie od tego również i sklepy mają wystawiać w oknach oraz miejscach widnych i dostępnych, czytelnemi, dużemi literami — ceny pieczywa.

Ciekawe odkrycie.

Wyjaśnia się tajemnica mizernego rozwoju w naszym kraju kwintesencyi drobnomieszczańskiej mózgu Schultzego z Delitsch, tj. kas zaliczkowo-wkładowych. Pomimo niezmiernie przychylnie usposobionej martwej litery prawa dla tego rodzaju objawów życia społecznego u nas, żywi wykonawcy stale witali odmową liczne podania różnych miejscowości o pozwolenie na otwieranie takich kas. Z referatu p. Kirszrot-Prawnickiego, odczytanego w sekcyi rzemieślniczej Towarzystwa pop. przem. i handlu, okazuje się, iż podczas gdy w Rosyi (np. dodajmy od siebie, w tak zwanym „kraju północno-zachodnim" jest wiele tego rodzaju instytucyj wzajemnego kredytu drobnego), u nas można tylko wymienić trzy miejscowości, które dostąpiły zaszczytu: Grójec, Kutno i Wiskitki. Dopiero niedawno na skutek starań Towarzystwa, z kancelaryi Naczelnika kraju nadeszła odpowiedź, iż „rząd nie życzy sobie jedynie zakładania rzeczonych kas dla mieszkańców wsi ze względu na istnienie kas gminnych, popieranych przez władze... O ile kasy zaliczkowo-wkładowe ogarniać mają tylko sfery miejskie, nic przeciw nim niema. Pozostaje więc szerokie pole działalności dla naszych wielbicieli Schultzego z Delitsch.

Porusza się... Niemiecka komisya kolonizacyjna kupiła majątek Waliszewo za 80,000 marek.

Prof. Bobrzyński ma zostać wice-prezesem krajowej rady szkolnej w Galicyi. Nie odpoczywa w posuwaniu się.

Muzyka. Na koncercie „Lutni," obok utworów Gounoda, Sulivana, Bizeta i innych, wykonano kantatę M. Brucha, osnutą na rapsodie Izajasza Tegnera, zaczerpniętym z sagi o Frytjofie.

Inżenierowie także mają wyprawić sobie majówkę. Według *Kur. warsz.*, zawiozą oni naprzód damy w górę Wisły dla obejrzenia robót regulacyjnych, a potem — w dół jej, do... głównego kolektora, który, na szczęście, podczas tych oględzin będzie nieczynnym. W majówce tej powinienby przyjąć udział Zola.

Nowi biskupi zostali już poświęceni. Najwydatniejszą między nimi osobistością jest ks. Nowodworski, redaktor *Przeglądu katolickiego* i *Encyklopedyi kościelnej*.

Warsz. Dniewnik zaprzecza dwu pogłoskom, które obiegły prasę ruską, a nawet przedostały się za granicę, jakoby w Warszawie miał być wkrótce postawiony sobór prawosławny oraz utworzona gubernia chełmska.

Odczyty. P. M. Gawalewicz w dwu wykładach publicznych rozebrał „Fircyka w zalotach" i scharakteryzował Fr. Zabłockiego.

Szkoły. Rozesłano do towarzystw rolniczych okólnik zawierający zapatrywania ministeryum na sprawę urządzania ogrodów i szkółek owocowych przy szkółkach elementarnych wiejskich, w celu krzewienia wiadomości z ogrodnictwa i warzywnictwa. Departament zwraca uwagę towarzystw na ten przedmiot i zapytuje, czy nie uznałyby one za możebne poprzeć wedle możności tę sprawę.

— Opracowano ogólną normalną ustawę dla szkół gospodarstwa mlecznego. Mają one pozostawać pod zarządem ministeryum dóbr państwa. Szkoły będą specyalne, poświęcone produkcyi masła lub wyrobowi serów, wyłącznie męzkie lub żeńskie (w żadnym razie nie mogą być mieszane) i będą się dzieliły na dwie kategorye: kończący kurs według pierwszej, będą pod względem służby wojskowej korzystać z ulg trzeciej klasy, kończący zaś kurs według drugiej — z ulg czwartej klasy. Do pierwszej należą przyjmujące uczniów, którzy ukończyli dwie klasy szkół miejskich, do drugiej — przyjmujące uczniów ze szkół ludowych. Kandydaci powinni liczyć więcej, niż lat 17. Kurs trwa dwa lata, poczem uczniowie obowiązani są odbywać praktykę w jednem z wzorowych gospodarstw mlecznych. Każda taka szkoła może przyjąć tylko 12 uczniów.

— Z rokiem przyszłym ma być wprowadzona do gimnazyów nauka muzyki orkiestrowej. Taka orkiestra istnieje już od roku w gimnazyum kieleckiem.

— Kursy ogrodnictwa i warzywnictwa postanowiono zorganizować w tym roku: w majątku W. Ks. Jerzego Aleksandrowicza, we wsi Bracowie, gub. orłowskiej, przy seminaryum nauczycielskiem w Mołodecznie, w Wierei i Tamirowie (gub. moskiewska) i w majątku Jabłoczkowa (gub. tulska).

— Nowa ustawa inżenierów komunikacyi zatwierdzoną została przez Radę państwa.

— Z polecenia władzy naukowej uczniowie gimnazyów warszawskich mają odbyć wycieczki spacerowe w okolice miasta do obozów dla ćwiczenia w gimnastyce wojskowej.

— Z liczby studentów, uwolnionych z uniwersytetu warszawskiego z powodu niewniesienia opłaty, siedmiu na nowo przyjęto.

— Z decyzyi J. E. Głównego Naczelnika kraju, p. Eugenia Labaulaye otrzymała pozwolenie na otwarcie szkoły rzemiosł dla kobiet, w bardzo obszernym zakresie,

— Panna Zofia Garbowska otrzymała koncesyę na otwarcie w Warszawie szkoły dla dzieci 4—7-letnich, które będą się zajmować: wyszywaniem, koszykarstwem, rysunkami, lepieniem z wosku i gliny, introligatorstwem i innemi ćwiczeniami według metody froeblowskiej.

Wiadomości społeczne. Mający być przedstawiony Radzie państwa projekt środków dla rozciągnięcia opieki nad robotnikami, głównie co do wypoczynku niedzielnego, pracy kobiet i dzieci, przechodzi o wiele uchwały konferencyi berlińskiej. Wszystkie warsztaty rzemieślnicze mają bezwarunkowo przestrzegać niedziele, a kupcom będzie wolno pracować tylko pięć godzin w dni świąteczne. Pod dozór inspektorów fabrycznych podciągnięte zostaną wszystkie warsztaty, używające maszyn lub motorów naturalnych. Zerwanie kontraktu przez robotników i publiczne podmawianie do tego będzie karane więzieniem od jednego miesiąca do roku. (*Kur. warsz.*).

— W Opatowie ma powstać stowarzyszenie spożywcze.

— W Warszawie przy domu schronienia starców i sierot gminy żydowskiej zaczęto budować przytułek dla nieuleczalnych chorych i idyotów na 30 osób.

— Tomasz Brzozowski zapisał na cele dobroczynne następujące kwoty: rs. 1,000 na oddział przytułku dla ubogich rekonwalescentów, wychodzących ze szpitalów warszawskich, rs. 1,000 dla szwalni nr. 1 dla ubogich dziewcząt, rs. 1,000 instytucyi jałmużniczej dla osieroconych dziewcząt i wstydzących się żebrać, rs. 1,000 dla zakładu „Opieki N. P. Maryi," rs. 1,200 dla schronienia paralityków im. F. Sobańskiego; rs. 600 dla „Archikonfraterni literackiej."

— Departament lekarski zezwolił na przyjmowanie do aptek uczenic przychodnich na równi z uczniami.

— W Petersburgu ma się utworzyć stowarzyszenie kobiet-szklarzy i komisyonerów.

Wystawy. Wystawa etnograficzna będzie otwarta w Warszawie 1892 r.

— Wystawę rzemieślniczą w Warszawie zamknięto.

— W Petersburgu odbędzie się w r. p. wystawa drukarska.

— Przemysłowcy i kupcy ruscy otrzymali zaproszenie do przyjęcia udziału w wystawie belgijskiej w Liège.

— W Berlinie otwarto powszechną wystawę ogrodniczą.

— W Pawii za kilka tygodni urządzoną będzie wystawa wyrobów z mleka.

— W Ruszczuku będzie urządzona w sierpniu pierwsza wystawa rolnicza.

— Na pływającą na okręcie wystawę przemysłu niemieckiego 300 wielkich fabrykantów dało fundusze.

— W Hamburgu odbędzie się wystawa wyrobów i produktów ruskich.

— Następna wszechrosyjska wystawa zabawek odbędzie się w Moskwie.

Konkursy. Konkurs *Gazety radomskiej* na dziełko lub artykuł o środkach zapobiegania wypadkom z dziećmi wiejskiemi został odroczony na parę miesięcy.

— Towarzystwo słuchaczów szkoły w Dublanach podaje do wiadomości, iż na konkurs im. dr. Juliusza Au'a, ogłoszony w listopadzie r. z. na napisanie dla włościan dziełka treści ekonomicznej, nadeszły następujące prace: 1) Handel wiejski i sklepy, 2) Spółka włościańska, 3) O pożytku i potrzebie towarzystw ludowych.

Sprawy kolejowe. Z inicyatywy rady zarządzającej kolei Wiedeńskiej, uposażenie etatowe pomocników maszynistów będzie podwyższone starszym do 450 rs., młodszym do 400 rocznie.

— W etacie ogólnym kolei Bydgoskiej, zatwierdzonym na r. b., wyznaczono stałą sumę 13,600 rs. na noworoczną gratyfikacyę dla pracowników tej drogi.

Rolnictwo. Cyrkularz ministeryum skarbu z r. 1863 postanowił, aby właściciele ziemscy, otwierający handle trunku własnego wyrobu, wolni byli od opłat gildyjnych i przemysłowych, z wyjątkiem patentowych na rzecz akcyzy. Obecnie wyjaśniono, iż dla ułatwienia zbytu własnych wyrobów dostatecznie jest uczynić ulgę w otwieraniu handlów pułkowych przy gorzelniach wiejskich, bez wykupowania świadectw gildyjnych i przemysłowych; detaliczna zaś sprzedaż trunków przez właścicieli ziemskich, choćby własnych wyrobów, ulega całkowitym opłatom handlowym, bez żadnych uwzględnień.

Przemysł. W Ciechocinku, na gruncie należącym do ministeryum dóbr państwa, ma być utworzone Towarzystwo warzenia soli i szlamu ciechocińskiego, z kapitałem 800,000 rs.

— Towarzystwo przemysłowe, przerabiające naftę, przystąpiło do eksploatowania źródeł naftowych w gub. elizawetpolskiej.

— Grupa kijowskich wytwórców cukru, postanowiwszy wysyłać do Persyi swój produkt, wyrabiany według wymagań wschodnich, natrafiła, jak twierdzą *Pet. Wied.*, na takie współzawodnictwo ze strony tamtejszej austryackiej agencyi handlowej, że po dwuletnich próbach postanowiła zawiesić swoją działalność. Ale powyższa agencya ofiarowała obecnie swoje usługi do sprzedaży cukru ruskiego na tak dogodnych warunkach, że fabrykanci kijowscy chętnie zawarli z nią umowę.

Handel. Ministeryum dóbr państwa, popierając w dalszym ciągu wywóz produktów z mięsa wieprzowego za granicę, przyczyniło się do otwarcia w gub. charkowskiej wielkiej rzeźni, wysyłającej takie wyroby do Hamburga. Kolej Mikołajewska dała w tym celu specyalne wagony towarowe przy pociągach pocztowych.

Literatura. W Kopenhadze zaczął wychodzić miesięcznik literacko-polityczny *Af Dageus Kronika*.

— We Lwowie wkrótce się ukaże dzieło prof. Małeckiego „Studya heraldyczne."

— Szwajcarscy zwolennicy volapüku założyli w Zurychu miesięcznik p. t. „Schweizerische Weltsprache Zeitung."

— W Krakowie staraniem Biblioteki uniwersalnej wkrótce zacznie wychodzić „Biblioteka powieści."

— Minister spraw wewnętrznych, ze względu, że gazeta *Moskowskija Wiedomosti*, roztrząsając nowowydaną ustawę karną W. Ks. Finlandzkiego, dopuściła się w artykule wstępnym nr. 102 wielce zuchwałego wyrażenia o posłach urzędowej, postawionej przez zaufanie Najwyższej władzy na czele zarządu rzeczonej prowincyi, postanowił: udzielić tej gazecie pierwsze ostrzeżenie.

Bibliografia. *Wielka encyklop. powsz. ilustr.* zeszyt 5.

— W. Kosiakiewicz, *Druty telegraficzne*, powieść, str. 260, Gebethner i Wolff.

— W. Rapacki, *Hanza*, powieść z XV w., str. 234, Gebethner i Wolff.

— Dr. J. Majkowski, *Busko*, str. 152.

— Dr. K. Dębicki, *Iwonicz w r.* 7889, str. 35, Lwów.

— Dr. P. Berger, *Poradnik dla cierpiących na małokrwistość*, str. 51, Orgelbrand.

— St. A. Kempner, *Bismark*, str. 63, *Gazeta handl.*

Zmarli. Stanisław Bronikowski, w Poznaniu, dziennikarz.

— Henryk Thompson, w Londynie, dziennikarz angielski.

— August Woldt, w Berlinie, popularyzator przyrodniczy i dziennikarz.

— Brisat, w Paryżu, francuski malarz historyczny.

— M. Smeto, w Wiedniu, historyk.

GŁÓWNY SKŁAD

ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,

poleca:

PŁÓTNA BIELONE WYBOROWE

z najlepszej przędzy i przez najwprawniejszych tkaczy wyrabiane,

z zupełną gwarancyą trwałości,

na bieliznę damską, męską i pościelową.

PŁÓTNA PRZEŚCIERADŁOWE

na materace i pod kołdry w wszelkich szerokościach i gatunkach.

Płótna surowe — **Kreasy niebielone** — **Płócienka** na wsypy — **Drelichy** na materace i rolety.

STOŁOWĄ BIELIZNĘ czysto lnianą,

Garnitury z 6, 12, 18 i 24 serwetami — **Obrusy pojedyńcze, Serwety** do herbaty i serwetki deserowe białe, kolorowe i fantazyjne, Ręczniki, Scierki.

BIELIZNĘ GOTOWĄ DAMSKĄ I MĘSKĄ

dokładne kopije ostatnich modeli paryskich.

Kompletne wyprawy na różne ceny.

Hafty — Koronki — Trimmingi, Madapolamy — Chiffony, Barchany, Batysty, Piki, Perkale, Victoria-Lawn i t. p. na negliże.

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. Bułakowski.**

Koncesyonowany przez Ministeryum Spraw Wewnętrznych

Instytut Szczepienia Ospy

D-ra TYMOTEUSZA STĘPNIEWSKIEGO,

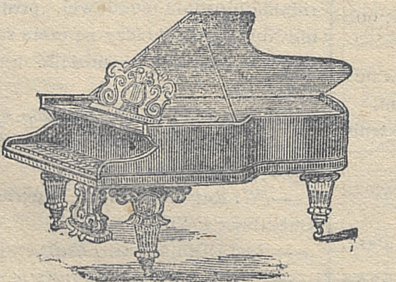
Warszawa, Złota Nr. 35.

Rurka kapilarna krowianki (z instrukcyami) k. 50. Banieczka detrytu (z instrukcyami): a) na 10 szczepień kop. 50; b) na 20 szczepień rs. 1. Szczepienie z rewizyą i świadectwem (ważnem bez marki): a) w Instytucie rs. 1; b) w mieście — jednej osoby rs. 3, a następnym osobom po rs. 1.—Porto kop. 25. — Ekspedycya natychmiastowa za gotówkę lub zaliczkę (nachnahme). Pośpiech ułatwiają zapotrzebowania telegramami lub listami otwartymi. — Lancet łatwo sterylizujący się, specyalnej konstrukcyi, w futerale, od kop. 60, Nabywającym szczepianek więcej jak za rubla, odlicza się 25%, to jest czwarta część należności. **Dr. Tymoteusz Stępniewski.**

GEBETHNER i WOLFF

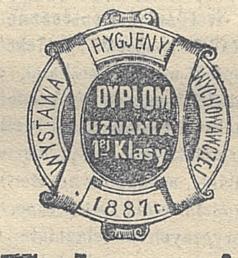
NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin



Sprzedaż na raty. Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.



Najtańszy i na różne ceny

KROKIET

z dodaniem opisu polskiego z figurami,

oraz Wielki Wybór

Zabaw i Gier ogrodowych

w Składzie

JULIANA MÜLLERA

Senatorska 24, wprost Kościoła.

Apteka, Poczta, Telegraf, Sklepy, 2 Restauracye. Powozy i omnibus na pociągi pocztowe.

Zakład Leczniczy NAŁĘCZÓW.

5 godzin od Warszawy, 1 godz. od Lublina, 4 wiorsty od st. kol. Nadwiślańskiej Nałęczów.

w zdrowej i malowniczej miejscowości, urządzony wykwintnie i wygodnie.

Środki lecznicze: 1) **Instytut hydropatyczny**, urządzony wzorowo z zastosowaniem elektryczności, massażu, wód mineralnych i kuracyi dyetetycznej, **cały rok otwarty** pod kierunkiem **D-ra Chmielewskiego.** 2) **Łazienki** do kąpieli żelazistych i borowinowych Nałęczowskich, odpowiadających morbadom w Franzensbadzie, igliwiowych i wszelkich sztucznych. Woda Nałęczowska odpowiadająca źródłom żelazistym w Spa, gimnastyka lecznicza, kumys, kefir i t. d. **w sezonie letnim** od 15 maja do 15 października.

W Nałęczowie leczą się skutecznie: choroby nerwowe, żołądko-kiszkowe, katary dróg oddechowych, wycieńczenia, otyłość, blednicę, choroby kobiece itd.

W letnim sezonie wspólnie z dyrektorem zakładu leczą konsultanci specyaliści: **Dr. H. Nussbaum, Doliński i Chełchowski.** — Całodzienne utrzymanie z kuracyą **od 3 rubli** dziennie — w sezonie zimowym ceny zniżone. — Bliższych objaśnień udziela na miejscu administracya Zakładu, — w Warszawie dr. W. Lasocki, Warecka Nr. 15, mieszk. 5.

SZKICE Adama Szymańskiego

tom drugi (odrębna całość) wyszedł z druku. Nabywający książkę do 1 czerwca r. b. bezpośrednio u autora, **Petersburg, ul. Zacharjewskaja Nr. 11 uowy m. Nr. 2,** płacą wraz z przesyłką **rs. 1** (cena księgarska **rs. 1 kop. 40**).

Magazyn Mebli MAKSYMILJANA KALMUS

w Warszawie, Grzybowska 37,

poleca: *Różnego rodzaju Meble, począwszy od najskromniejszych do najwykwintniejszych — stylowych.*

Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia mieszkań.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 4 Мая 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.